



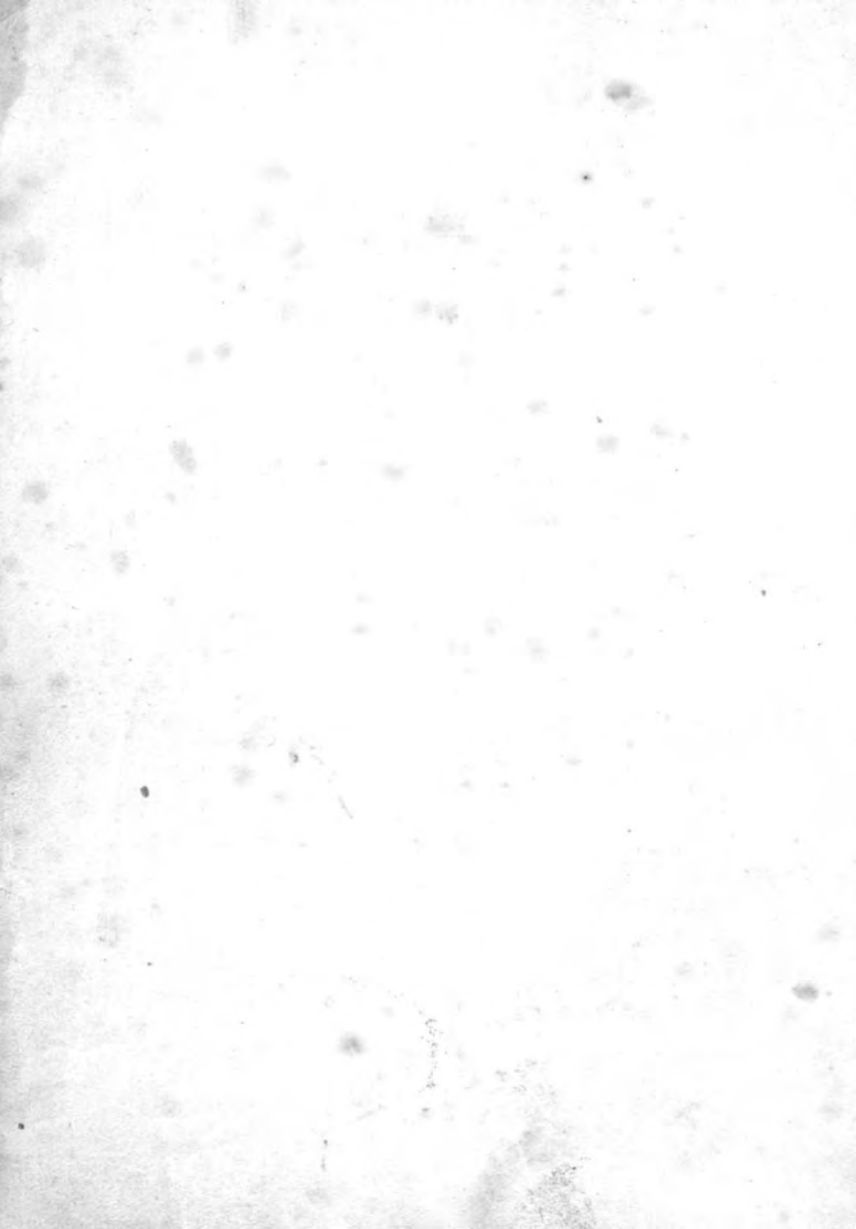






10 1

PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA



JACK LONDON

~~289.~~
B

PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA

(OPOWIADANIA Z KLONDIKE)

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

~~101~~

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-1620



001-0001968--00

WARSZAWA — E. WENDE I S-KA
POZNAŃ — FISZER I MAJEWSKI; ŁÓDŹ I KATOWICE — LUDWIK FISZEI
TORUŃ I SIEDLCE — TOW. WYDAWNICZE „IGNIS”.

821.11(73)-3



Sygn
A-1620

~~88378~~ 1968

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY Z ANGIELSKIEGO
STANISŁAWY KUSZELEWSKIEJ. WYDANIE
DRUGIE. ODBITO CZCIONKAMI
DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE
R. 1925

~~BIBLIOTEKA ZWIĄZKU
Teatru i Chóru Amatorskiego
w PRZECLAWIE~~

20, -

15, -

1

MALŻONKA KRÓLA

289

NOT RECORDED

Kiedyś, kiedy Północ była jeszcze bardzo młoda, obyczaje społeczne i cnoty obywatelskie jej mieszkańców proste były i niewyszukane. Jeśli troska o gospodarstwo dokuczyła już zanadto, a samotność zaczynała dopiekać, poszukiwacze przygód i ziota, przybyli z Południa, nie mając innej rady, płacili ustalone ceny i brali za żony tubylicze kobiety. Dla Indjanek był to przedsmak raj, trzeba bowiem przyznać, że biali ludzie obchodzili się z nimi daleko lepiej, niż rodacy. Niewątpliwie, biali byli równie zadowoleni z tranzakcji. Sprzedawszy zaś swoje córki i siostry za bawelniane koldry i zepsute strzelby i zamieniwszy ciepłe futra na lichy perkal i podle whisky — pierwotni synowie ziemi szybko i niewątpliwie zapadali na galopujące suchoty, lub inne niszczące choroby, nieodłączne towarzyszyki wyższej cywilizacji.

W tych to dniach arkadyjskiej prostoty, Cal Galbraith, podróżując po kraju, zasłabł nagle na Dolnej Rzece.

Fakt ten stał się świeżym podmuchem w monotonnym życiu sióstr Misji Ś-go Krzyża, które przygarnęły i pie-

lęgnowały wędrowca. Nie przypuszczały zapewne, jaki potężny eliksir życia wlewa w jego żyły samo dotknięcie ich dłoni i słodka troskliwość.

Cal'a Galbraith'a trapiły dziwne myśli, coraz usilniej domagające się uszczywistnienia od chwili, gdy po raz pierwszy oczy jego padły na dziewczynkę z Misji, imieniem Madeline.

Ale nie zdradził się ani słowem, czekając cierpliwie, aż czas przyjdzie. Nabral sił z nadejściem wiosny, gdy zaś słońce zatoczyło złociste koło po niebie, a radość i pragnienie życia zatętniło w całej naturze, Cal zebrał do kupy swoje osłabione jeszcze członki — i odjechał.

Madeline była sierotą. Jej biały ojciec nie ustąpił kiedyś z drogi buremu niedźwiedziowi, wobec czego zmarł śmiercią nagłą, a niespodziewaną. Jej matka, Indjanka, nie mając mężczyzny, który na zimę napelniłby żywnością spiżarnię, spróbowała wykonać ciekawe doświadczenie: przeżyć do wiosennego połowu o pięćdziesięciu funtach mąki i dwa razy mniejszej ilości funtów słoniny. Potem dziecko Chook-ra przeniosło się do dobrych sióstr i ochrzczone zostało nowem imieniem.

Niestety jednak Madeline miała krewnych, z których najbliższym był szelma-wuj, płynący przez życie w nieprawdopodobnej ilości wódki, wyludzanej od białych ludzi. Codziennie musiał się upić i dróg szukał ku temu coraz krótszych. Trzeźwość była dlań wyrafinowaną torturą. Sumienia nie miał wcale.

Do tego to przysięgłego włóczęgi zjawił się dnia pewnego Cal Galbraith. W czasie rozmowy, która nastąpiła wtedy, zużyto mało słów a dużo tytoniu. Umowa

została zawarta, następnie zaś stary poganin włożył do łódki z brzozonej kory kilka funtów suszonej łososiny — i ruszył ku Misji Ś-go Krzyża.

Światu nie danem jest wiedzieć, co tam błagował i co obiecywał — siostry są małowówne. Dość, że kiedy powracał, na ciemnej jego piersi lśnił miedziany krzyżyk, a obok w łódce siedziała Madeline.

Tegoż jeszcze wieczoru odbyło się huczne wesele i tak wspaniały „potłacz”,¹ że przez dwa dni następne nie było połowu w miasteczku.

Nad ranem Madeline strzepnęła ze swych mokasy-nów proch Dolnej Rzeki i wraz z mężem udała się łódką ku górnej Rzece w okolicę, zwaną Górnym Krajem. W latach, które nastąpiły potem, była Madeline dobrą żoną, dzieliła trudy męża i gotowała mu strawę. Kierowała go też nieraz na dobrą drogę, aż nauczył się oszczędzać i pracować. Nareszcie wzbogacony porządnie zbudował domek w Circle City. Szczęście sprzyjało mu tak usilnie, że odwiedzający go towarzysze niepokoili się na ten widok i zazdrościli.

Ale z biegiem czasu Północ poczęła dojrzewać, a cywilizacja niosła jej coraz nowe dary. Dotychczas Południe przysyłało tu tylko swoich synów; obecnie jednak pojawiły się również córki. Nie siostry bynajmniej, ani żony. Nie omieszkały przynieść mężczyznom mnóstwa nowych idei, oraz podnieść skali i tonu życia na własny sposób. Żony-Indjanki nie mogły już zbierać się na tańce, ani śpiewać bez troski w starych, dobrych koro-

¹ Uczta.

wodach. Zapadły więc w dawny, przyrodzony stoicyzm i bez współczucia przypatrywały się z głębi chat nowym prawom białych siostr.

Wkrótce jeszcze jedna ich fala przybyła z hojnego Południa. Wtedy już nastął prawdziwy czas panowania białych kobiet. Ich prawo było prawem. Prawo zaś — żelazem. Uzbroidy się tak umiejętnie przeciwko biednym żonom indyjskim, że tym ostatnim pozostało poddać się tylko i skromnie usunąć w cień. Znaleźli się nawet tchórze, co nagle zawstydzili się stosunków z córami tej ziemi i nie chcieli już patrzeć na ciemnoskóre dzieci. Ale byli i inni, prawdziwi mężczyźni, co pozostali wierni swym indyjskim żonom, a nawet pysznili się niemi.

Kiedy zapanowała moda porzucania żon-Indjanek, Cal Galbraith utrzymał swój honor mężczyzny i za to właśnie poczuł na sobie ciężką rękę kobiet, co przybyły ostatnie, wiedziały najmniej, ale już rządziły krajem. Pewnego dnia Górny Kraj, leżący daleko ponad Circle City, ogłoszony został za złotonośny. Sanie ciągnięte przez psy przyniosły tę nowinę aż z Salt Water. Chciwi ludzie rozpoczęli żeglugę na północy Wielkiego Oceanu; druty i kable rozniosły wieść szeroko i świat usłyszał po raz pierwszy o istnieniu kraju Klondike i rzeki Yukonu.

Cal Galbraith żył sobie spokojnie. Był dobrym mężem dla Madeline — ona zaś ubóstwiała Cal'a. Zczasem jednak napadło go jakieś niezadowolenie, coś, niby mglista tęsknota za własną rasą, za życiem, które sam z własnej woli odrzucił. Jest to pospolity rodzaj pragnienia, znany każdemu, kto zakosztował życia pierwotnego. Przy-

tem z góry rzeki waliły hałaśliwe nowiny o cudownem Eldorado, mieście namiotów, i o bajecznych powodzeniach „che-cha-quo“, co przyszli bandami i wkrótce kraj zaleją. Cały świat ruszył w górę rzeki i stał się nowym, bujniejszym światem.

Cal Galbraith opierał się już resztkami sił i coraz bardziej pragnął ujrzeć wszystko własnymi oczyma. To też ukończywszy płukanie piasku, odważył dwieście funtów na wielkich wagach P. C. Company¹ i odebrał za to czek na Dawson. Potem polecił swe sprawy Tomowi Dixon, ucałował Madeline na pożegnanie, obiecał wrócić przed pierwszą krą i wsiadł na statek, odpływający w górę rzeki.

Madeline czekała. Czekala przez długie trzy miesiące. Karmiła psy, poświęcała dużo czasu małemu Cal'owi, przyglądała się, jak gasną ostatnie barwy lata i słońce rozpoczyna długą swą wędrówkę na południe. Modliła się też dużo, zwyczajem sióstr z Misji Ś-go Krzyża. Narreszcie rozpoczęły się chłody, a wraz z niemi pierwszy lód na Yukonie; mieszkańcy Circle City powracali do domów. Ale Cal Galbraith nie wrócił.

Tom Dixon otrzymał jakiś list, poczem jego ludzie zaopatrzyli Madeline w zapasy suchego drzewa na zimę.

Przyszedł też list do Company, poczem napelniono najlepszą żywnością spiżarnię Madeline i otworzono jej kredyt nieograniczony.

Przez wszystkie czasy mężczyzna był głównym spraw-

¹ Pacific Commercial Company, Towarzystwo Handlowe Oceanu Spokojnego.

cą łez kobiecych. Ale w tym wypadku mężczyźni rozpuścili języki i wymyślali ostro temu, który odjechał. Kobiety były naturalnie innego zdania. Dzięki temu wszystkiemu Madeline dowiedziała się wkrótce dziwnych rzeczy o życiu Cal'a Galbraith'a, jak również o pewnej tancerce greckiej, co bawiła się mężczyznami, jak dziecko lalką. A Madeline była tylko indyjską kobietą i nie miała nikogo, ktoby dopomógł jej radą. Modliła się i myślała, modliła i myślała, aż nareszcie pewnego wieczoru — szybko w decyzji i czynie — zaprzęła psy, przywiązała synka bezpiecznie do sani i, wymknąwszy się niepostrzeżenie — ruszyła w drogę.

Chociaż Yukon nie stanął jeszcze, ale lód nadbrzeżny rósł z dniem każdym i rzeka wyglądała, jak coraz węższy i coraz brudniejszy pas. Nikt nie pojmie trudności tej stumilowej podróży, kto sam jej nie przeżył. Nie zrozumie wysiłki i męki następnych stu mil, kiedy drogę torować trzeba przez zwały lodu, powstałe po zamarnięciu rzeki.

Ale Madeline była Indjanką. Zwyciężyła więc wszystko i pewnego wieczoru zapukała do drzwi Malemuta Kida.

Ten zajął się przedewszystkiem nakarmieniem i oporządzeniem psów, potem ułożył do snu dziecko, a wtedy dopiero skierował uwagę na upadającą ze znużenia kobietę. Sciągnął z jej nóg przemarzłe mokasyny, słuchając prostego opowiadania, potem dotykać zaczął ostrzem noża jej bosych stóp, żeby poznać, jak daleko zaszło odmrożenie.

Pomimo swej silnej, męskiej postawy, Malemute Kid

posiadał łagodną, prawie kobiecą dobroć, która zyskiwała mu przywiązanie strasznych psów wilczarów i otwierała najtwardsze serca ludzkie. Nie zabiegał zresztą o to. Serca same rozchyłały się ku niemu, jak kwiaty ku słońcu. Nawet stary ksiądz Roubeau spowiadał się przed nim, zaś do drzwi jego chaty pukali bezustannie mężczyźni i kobiety z całej Północy. I drzwi te otwierały się zawsze. Madeline uważała — i nie ona jedna zresztą — że Kid nie mylił się nigdy i nie mógł uczynić nic złego. Znała go jeszcze w dzieciństwie i jej napółbarbarzyńskiej wyobraźni zdawało się zawsze, że w tym człowieku zamknięta jest cała mądrość wieków i że nic nie dzieli jego słowa od przyszłości.

Teraz, gdy fałszywy bożek owaładnął krajem, stosunki społeczne Dawson nie odpowiadały wymaganiom poprzedniej epoki, a szybkie dojrzewanie Północy powodowało wiele złego. Malemute Kid doskonale wiedział o tem i rozumiał odrazu psychologję Cal'a Galbraith'a. Wiedział też, że pośpieszne słowo nieraz rodzi zło. A zresztą, chciał dać dobrą nauczkę i zawstydzić mężczyznę. To też następnego wieczora wezwany został na naradę Stanley Prince, młody inżynier górniczy, oraz Jack Harrington i jego skrzypce.

Tegoż wieczora Bettles, który wiele zawdzięczał Kidowi, zaprzągnął psy Cal'a Galbraith'a, przywiązał Cal'a Galbraith'a junjora do sani i odjechał w głęboką ciemność Stuart River'y.

— Tak; raz-dwa-trzy; raz-dwa-trzy! Teraz zpowrotem. Nie, nie, odejść. Jack! Patrz, proszę ot, tak.

Prince wykonywał misternie kotyljonowe ruchy.

— Teraz; raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy. Zpowrotem! No, już lepiej, postaraj się jeszcze raz. Powiadam, że nie należy ciągle patrzeć na nogi. Raaz-dwa-trzy; raaz-dwa-trzy. Mniejsze kroki! To przecież nie jest kierowanie saniami! Jeszcze raz! Tak. Dobrze. Raaz-dwa-trzy...

Prince i Madeline kręcili się zawzięcie w niestrudżonym walcu. Stół i krzesła odsunięto ku ścianom. Malemute Kid siedział na ławce, z brodą na kolanach, okrutnie zaniepokojony. Jack Harrington siedział za nim, piłował bez końca swoje skrzypeczki i przypatrywał się tańczącym.

Była to zupełnie wyjątkowa sytuacja — owo zajęcie się trzech mężczyzn obcą kobietą. Najlepszy zaś był ów zadziwiająco poważny sposób, z jakim się do wszystkiego zabierano. Żaden atleta nie był tak trenowany do występu, żaden pies do noszenia uprzęży. Ale Madeline była wdzięcznym materiałem, niepodobnym do większości kobiet jej rasy, w dzieciństwie bowiem uniknęła trudności podróżowania na psach i noszenia ciężarów. Przytem było to smukłe, gibkie stworzenie, o dużym wdzięku, niewyzyskanym jeszcze. Ten wdzięk właśnie postanowiono w niej rozwinąć i ująć w karby.

— Utrapienie, daję słowo! Nie można jej nauczyć tańczyć! — rzucił zdenerwowany Prince, sadzając na stole zadyszaną uczenicę.

— Za gwałtownie się porusza; lepiejbym zrobił, nie pokazując jej ani kroku. Ale wiesz co, Kid, w żaden sposób nie mogę zrozumieć tego...

Tu Prince zrobił dziwny ruch głową i ramieniem, który charakteryzował Madeline i od którego niepodobna jej było odczytać.

— Całe szczęście, że rosła w Misji, — odpowiedział Kid, — to ruch od uprząży, wiesz, przedni rzemień. Niektóre Indjanki mają to w jeszcze silniejszym stopniu, ale ona nie wozila ciężarów od czasu zamążpójścia, przedtem zaś niewiele. Przeżyła razem z mężem niejedną ciężką chwilę. Chociażby głód w Forty Mile.

— Czy nie da się to poprawić?

— Nie wiem. Może dokuczają jej długie ćwiczenia. Cóż? Będziemy uczyli się dalej, Madeline?

Skinęła głową. Jeśli tak radził Malemute Kid, który wie wszystko, to już widocznie tak trzeba. To jej wystarczyło. Podeszła do mężczyzny, chcąc zacząć na nowo. Harrington obejrzał ją uważnie od czubka głowy do pięt, jak konia wyścigowego. Oględziny zadowolily go widocznie, bo nagle zapytał:

— Ciekawym, ile też dostał ten nieszczęsny wujek?

— Jedną strzelbę, jedną koldrę, dwanaście butelek hooch... Strzelba złamana.

Ostatnie słowa Madeline wymówiła pogardliwie, jak gdyby oburzona, że jej cena dziewczęca była tak niska! Po angielsku mówiła swobodnie, nabrawszy jednak wszystkich właściwości mowy swego męża. Wymawiała trochę gardłowo, z indyjską. Tem również zajęli się gorliwi nauczyciele, z niemałym powodzeniem.

Podczas następnego wypoczynku Prince wykrył nową przeszkodę.

— Powiadam ci, Kid, nic z tego. Ot, gdyby tak lekko pantofelki, a woskowana podłoga — fiu, fiu!

Madeline podniosła stopę i niedowierzająco obejrzała swoje bezkształtne, domowe mokasyny. Jeszcze zeszłej zimy w Circe City i Forty Mile przetańczyła w nich niejedną noc do rana i wszystko było doskonale.

A teraz... zresztą, jeżeli było w tem coś złego, powinien myśleć Malemute Kid, nie ona. I Malemute Kid myślał istotnie, miał przytem doskonale oko do miar, to też po chwili włożył futrzaną czapę, naciągnął rękawice i poszedł złożyć wizytę pani Epingwell.

Mąż tej damy, Clare Epingwell, znany był w towarzystwie jako jeden ze znacznych urzędników państwowych. Malemute Kid zauważył kiedyś na jakimś oficjalnym balu smukłą, małą nóżkę, wiedząc zaś, że jej właścicielka jest równie uczynna, jak piękna, nie wahał się prosić o pewną drobną przysługę. Po jego powrocie Madeline znikła na chwilę w przyległej izbie. Kiedy wróciła — Prince zdębiał.

— Na Jowisza! — zabelkotał, — któż mógł przypuszczać! Mała zwodnica! Ach, czemuż moja siostra...

— Jest tylko angielską dziewczyną z angielską nogą, nieprawdaż? — przerwał ze śmiechem Malemute Kid. — Widzisz, ona pochodzi z rasy o wyjątkowo drobnej nodze. Mokasyny pozwoliły swobodnie rozwinąć się kształtom, podczas gdy w dzieciństwie nie zepsuło jej ciężkie poganianie psów.

Wyjaśnienia te jednak nie zmniejszyły wcale podzi-

wu Princ'a; Harrington zaś czuł się przedewszystkiem dotknięty, jako handlowiec. Patrzył na śliczną stopę i smukłą kostkę, a w myślach brzęczało mu ciągle jak dokuczliwa osa: „jedna strzelba... jedna kołdra... dwanaście butelek hooch'u...“

Madeline była żoną złotego króla, prawdziwego króla Eldorado, którego kasa starczyłaby na wszelkie zbyt-
kowne stroje; ale przez całe życie nogi jej nie znały nic, prócz rudej skóry jeleniej. Z początku spoglądała z pewnym przestraczeniem na maleńkie pantofelki z białego atlasu; szybko jednak schwytała iskiereki podziwu, błyszczące w męskich oczach. Przez chwilę upajała się świadomością własnej urody, potem zaś szepnęła z nieukrywanym oburzeniem:

— I jedna popsuta strzelba!

Training trwał dalej. Codziennie Malemute Kid odbywał z Madeline długie przechadzki, żeby poprawić jej chód i zharmonizować ruch. Było mało prawdopodobne, żeby spotkał ich i poznał Cal Galbraith, lub ktokolwiek z dawnych znajomych, snuli się bowiem teraz zrzadka, pośród nawału nowych przybyszy. Mróz północny ma ostry język, to też dla ochrony przed nim delikatne kobiety Południa wprowadziły modę wełnianych woalek na twarzy. Tak z zasłoniętą twarzą i postacią otuloną w luźny płaszcz futrzany, matka i córka mogły spotkać się na drodze i minąć, jak obce.

Nauka postępowała szybko. Z początku szła leniwie, ale potem zaszła raptowna zmiana. Stało się to od chwili włożenia atlasowych pantofelków. Wtedy bowiem Madeline znalazła sama siebie. Duma białego ojca odezwała

się w niej naraz, obok własnej, wrodzonej godności. Dotychczas uważała się za kobietę niższej rasy, kupioną z łaski. Mąż wydawał jej się bogiem, który wzniosł ją ku sobie, nie dla jej zasług, lecz dla swego boskiego kaprvsu. Nie zapomniała też nigdy, nawet po urodzeniu małego Cal'a, że pochodzenie jej było niższe. Jeśli zaś mąż był bogiem, to kobiety jego rasy — boginiami. Odczuwała cały kontrast, ale nie śmiała nigdy porównywać.

Może dopiero po bliższem poznaniu zjawilaby się pogarda. Krótko mówiąc, teraz dopiero zrozumiała tych lekkomyślnych białych ludzi i oceniła ich należycie. Prawda, że myśl jej nie umiała rozpatrzyć tego szczegółowo, ale zato olśniło ją prawdziwe kobiece jasnowidzenie. Owego pamiętnego wieczoru oceniła szybko wyraźny a nieukrywany podziw trzech mężczyzn i po raz pierwszy nasunęły jej się rozmaite porównania. Była to co prawda tylko stopa i kostka, ale... ale porównanie nie mogło niewątpliwie na tem poprzestać. Poczęła uważnie oceniać samą siebie, dopóki boskość białych siostr nie zbladła w jej oczach. Ostatecznie, były tylko kobietami, dlaczegoż więc nie miałyby wznieść się do ich poziomu? Powiedziawszy to sobie, poczęła starannie dopelniać swe braki i wraz z poczuciem słabości przysła jej siła. Zmieniała się tak szybko, że trzej nauczyciele dziwili się nie raz do późnej nocy wiecznej tajemnicy kobiecości.

Dni mijały, zbliżało się święto Dziękczynienia.¹

Co pewien czas Bettles przysyłał wiadomości, ze Stu-

¹ Amerykańskie święto, ostatni czwartek września.

art River o dobrem zdrowiu małego Cal'a. Zdarzało się niekiedy, że do izby zakolała przypadkowy gość, zwabiony taneczną muzyką i rytmicznym tupaniem nóg. Ale zastawał zawsze tylko Harringtona, zawzięcie pilującego skrzypce i tamtych dwóch, spierających się uparcie o jakieś „pas“ taneczne. Madeline nie spotykano nigdy, znikła bowiem natychmiast w przyległej izbie.

Pewnego wieczora do pokoju zajrzał Cal Galbraith. Madeline dostała właśnie dobrą wiadomość ze Stuart River, to też rozkwitła cała nie tylko w ruchach, postawie i tańcu, ale w jedynym, nieuchwytnym wdzięku kobiecym. Mężczyźni prześcigali się w żartach i dowcipie, ona zaś broniła się prześlicznie. Wkońcu poddając się wesołemu nastrojowi, z całą świadomością własnej siły poczęła dziewczęco zaczepiać ich, ujarzmiac i opanowywać, a nareszcie okazywać zwysoka życzliwość. Powodzenie było zadziwiające. Mężczyźni ustępowali instynktownie i mimowoli, nawet nie przed jej pięknoscią, rozumem i dowcipem, ale poprostu przed czemś nieuchwytnie kobiecym, czemu podda się zawsze mężczyzna, choć nie potrafi tego nazwać. Cały pokój pelen był hucznej, zawrotnej wesołości, a Madeline kręciła się z Princ'em w ostatnim wieczornym walcu. Harrington wygrywał niestworzone rzeczy, a Malemute Kid, zupełnie opuszczony, porwał miotłę w braku lepszego mebla i obracał się jak opętany, wokoło samego siebie.

W tej chwili drzwi zatrzęsły się pod mocną czyjąś dłonią i szybkie ich spojrzenia dojrzały drgnięcie zasuw. Ale podobne sytuacje przewidziane już były zgóry. Harrington nie spauzował ani jednej nuty, Madeline

śmignęła przezornie do sąsiedniej izby, miotła raptownie znalazła się pod ławką i zanim Cal Galbraith i Louis Savoy zdążyli wejść do chaty, już Prince leżał w objęciach Kida i obaj uparcie krążyli w zawrotnym walcu.

W zasadzie Indjanki nie mdleją nigdy, tym jednak razem Madeline zbliżyła się do tego stanu tak bardzo, jak nigdy dotąd. Całą godzinę stała wtulona w kącie ciemnej izby, przysłuchując się głosom mężczyźni, brzęcącym w jej uszach, jak skłębiony chaos dźwięków. Każda intonacja, każde drgnienie głosu męża były jak znajoma piosenka dzieciństwa. Tęsknota ścisnęła jej serce, a bezwład nagły podciął kolana. Napółprzytomna wtuliła się w kąt izby. Na szczęście nie mogła już słyszeć, jak odchodził.

— Kiedy zamierzasz powrócić do Circle City? — zapytał Malemute Kid poprostu.

— Niewiele jeszcze o tem myślałem — odrzekł tamten. — Ale zapewne nie przed ruszeniem łodów.

— A Madeline?

Cal zaczerwienił się nagle i cień przykrości przemknął po jego twarzy. Malemute Kid mógłby nim za to pogardzić, ale zbyt dobrze znał mężczyzn. Więc począł tylko przeklinać białe kobiety, przybyłe z Południa, którym mało było, że zajęły miejsca prawowitych żon; nie nauczyły jeszcze mężczyzn, jak wstydzic się mają ich wspomnienia.

— Wiem, że jest zdrowa — usprawiedliwiał się pośpiesznie złoty królik z Circle City. — Tom Dixon prowadzi tam moje interesa, więc troszczy się również, aby jej na niczem nie zbywało.

Malemute Kid przerwał, biorąc go pod rękę. Wyszli razem przed dom. Przed nimi zorza północna rozpostarła cuda barw różnolitych. U nóg spała cicha osada. Gdzieś daleko przeciągle zawodził pies. Król chciał rozpocząć rozmowę, ale Kid uściskiem dłoni dał znać, żeby milczał.

Dźwięki rosły. Psy, jeden po drugim, przyłączały się do chóru, aż pełny, żalony akord przeszył czarną głęb nocy. Temu, kto po raz pierwszy słyszy tę muzykę, otwiera się najdziwniejsza tajemnica Północy. Temu, kto słyszał ją już nieraz, brzmi niby żałobna pieśń daremnych wysiłków, straconych dni. Jest to skarga zmęczonych serc, pełna ciężkiej spuścizny Północy: cierpienia niezliczonych pokoleń. Jest to groźba, ostrzeżenie i requiem nad wieczystym grzechem świata.

Cal Galbraith drgnął, kiedy dźwięki zamarły nagle w napolstłumionem łkaniu.

Kid czytał w jego myślach, jak w otwartej księdze. Wędrował z nim razem przez wszystkie ciężkie dni głodu i walki i wciąż towarzyszyła im cierpliwa Madeline, dzieląca cierpienia i trudy bez wahania, bez skargi — wierne. W myślach wstawały długie szeregi obrazów, olśnień nagłych, objawień, a ciężkie palce Przeszłości zacisnęły się nieubłaganie wokoło jego serca. Był to tak podatny moment psychologiczny, że Malemute Kid miał ochotę otworzyć mu ostatni swój atut i wygrać grę. Ale nauczka byłaby zbyt łagodna, to też myśl tę co prędzej odpędził. Za chwilę uścisnęli sobie dłonie, poczem szyte paciorkami mokasyny Kida zaskrzypiały ostro na śnieżystym stoku pagórka.

Madeline smutna, zmieszana, była już zupełnie niepodobna do czarownego stworzenia, którego śmiech jeszcze przed godziną był tak zaraźliwy, a rozkoszne rumieńce i lśniące oczy zmusiły poważnych nauczycieli do zapomnienia ról swych, choć na chwilę. Bezsilna i drżąca, siedziała nieruchomo na krześle, jak ją umieścili Prince i Harrington. Malemute Kid zachmurzył się. Tak być nie może. Kiedy nadejdzie czas spotkania z mężem, powinna trzymać się dumnie, jak królowa. Musi bezwarunkowo postępować, jak biała kobieta, inaczej zwycięstwo nie będzie wcale zwycięstwem. Wmawiał jej to długo, poważnie, bez próżnych słów i odkrywał jej wszystkie słabości własnej płci. Zrozumiała nareszcie, jakimi prostakami są w gruncie rzeczy mężczyźni, i dlaczego słowo białych kobiet jest dla nich prawem.

Na kilka dni przed tradycyjnem świętem Malemute Kid złożył drugą wizytę pani Epingwell. Ta natychmiast przetrząsnęła wszystkie swe drobiazgi toaletowe, odwiedziła galanteryjny oddział P. C. Company i wróciła wraz z Kidem, żeby poznać Madeline.

Potem nastąpił okres, jakiego nigdy dotychczas nie przeżywała izdebka Kida. Było tam krajanie, szycie, upinanie, przymierzanie i wiele innych cudownych, a niewypowiedzianych spraw, wskutek czego trzej nauczyciele częstokroć wypraszeni bywali z domu, bez prawa powrotu. Wtedy to Dom Opery otwierał przed nimi wielkie, gościnne podwoje. Tam często widywano ich razem, wznoszących zagadkowe jakieś toasty. Plotki rozniosły wkrótce po osadzie cudowne wieści o nowo odkrytych pokładach bajecznej wartości. Stało się nawet wia-

dome, że kilku „che, cha, quo“ i jeden stary wyga czynili już przygotowania, żeby w odpowiedniej chwili wyruszyć po zdobycz.

Pani Epingwell była kobietą pełną talentów. Bo kiedy w noc święta Dziękczynienia Madeline oddana została w ręce swych nauczycieli, była tak zmieniona, że ogarnęło ich bogobojne przerażenie. Prince zarzucił na nią płaszcz z Hulson Bay, a czynił to z nabożeństwem, bardziej prawdziwym, niż udaniem; Malemute Kıl zaś, prowadząc ją pod rękę, czuł po raz pierwszy, jak trudno mu jest odnaleźć swój zwykły, mentorski sposób bycia. Harrington, wciąż jeszcze nie mogąc odpędzić nieznośnego refrenu: „Jedna koldra, jedna strzelba“, włókł się ponuro przez ulicę i nie odzywał ani słowem. Podszedłszy do bocznych drzwi Domu Opery, zdjęli płaszcz z ramion Madeline i rozesłali go na śniegu. Wysunąwszy nóżki w wielkich mokasynów Prince'a, wśliznęła je w nowe, białe pantofelki. Maskarada wrzała w całej pełni. Madeline zawahała się przez chwilę, ale mężczyźni szeroko otworzyli przed nią drzwi i zlekka popchnęli ku wejściu. Potem zaś spokojnie obeszlą wokół, zmierzając ku drzwiom głównym.

3

„Gdzie jest Freda?“ pytali dawni mieszkańcy, podczas gdy nowicjusze równie energicznie dowiadywali się, kim jest Freda. Sala balowa rozbrzmiewała tem imieniem. Było na ustach wszystkich. Siwiejący już „chłopcy z kwaśnego ciasta“, robotnicy kopalniani (bardzo dumni

z tytułu „poszukiwaczy złota“), wszyscy wogóle z równem zainteresowaniem obserwowali każdą małą, eleganczką nóżkę, uprzejmie tłumacząc coś profanom. „Chłopy z kwaśnego ciasta“ byli jakby stworzeni do zgadywania. Zeszło się tu ze czterdziestu „króli“ z Górnej i Dolnej Rzeki, zadzierających nosy do góry, stosownie do posiadanej ilości złotego piasku. Nareszcie poczęto stawiać grube zakłady, tuż na miejscu ważąc piasek.

Któraż tu Freda? Od czasu do czasu zdawało się, że grecka tancerka już jest odgadnięta, ale za chwilę wybuchała większa jeszcze wrzawa, ryzykowniejsze zakłady.

Malemute Kid, którego przybycie powitano huczną radością, zaciekał się również polowaniem. Miał dobre oko do rozpoznawania ruchów i ucho wrażliwe na najłżejszy akcent głosu, zaraz też wskazał na czarujące stworzenie, co olśniewało, jako „Zorza Północna“. Ale grecka tancerka była zbyt tajemnicza nawet dla jego spostrzegawczości. Większość myśliwych uganiała się za „Rosyjską Księżniczką“, najwdzięczniejszą postacią na sali. Była ona niewątpliwie Fredą Moloof. Podczas kontredansa zabrzmiała radosna wrzawa. Odgadnięto ją nareszcie! Na poprzednich balach Freda w figurze „wszystkie pary kółeczko“ wykonywała pewną przesłiczną, własnego pomysłu warjację, której nikt na świecie nie potrafiłby naśladować. To też, gdy po ogłoszeniu figury „Rosyjska Księżniczka“ poddała owemu rytmowi czarowną swą postać, zgodny chór „a co, nie mówilem!“ zatrząśł ścianami sali. Wtem zauważono, iż „Zorza Północna“ i „Duch Polarny“ wykonały to samo „pas“ rów-

nie pięknie; kiedy zaś nierozłączne „Królowna Zimy” i „Złudne Słońce” poszły śladami poprzednich, — wagi zadrżały od nowych grud złotego piasku. Bettles wpadł na bal prosto z sani, owiany całym huraganem mrozu. Zamarzłe jego brwi zamieniły się w istne wodospady od ciepłego oddechu, wąsy, wciąż jeszcze pełne lodu, lśniły jak brylantowe i załamywały światło wszystkimi kolorami tęczy, roztańczone mokasyny zostawiały całe kałuże stopionego śniegu. Ale taniec nie jest na Północy kwestją etykiety. Ludzie z Kopalni i Szlaku porzucają wszelkie dawne przesady i formalności i tylko w najwyższych, oficjalnych sferach, etykieta strzeżoną bywa w całej pełni. Ale tutaj nie występowały żadne różnice klasowe. Miljonerzy i nędzarze, poganiacze psów i konni strażnicy łączyli zgodnie dłonie przy „damy do śródeczka” i sunęli po sali w zgodnych podskokach. Prymitywni w swej wesołości, bujni i surowi, nie byli jednak prostakami, a raczej zachowali pewną szlachetną rycerskość, szczerzą i piękniejszą od najbardziej wykwintnej ogłady.

W pogoni za grecką tancerką Cal Galbraith starał się trzymać w pobliżu „Księżniczki”, na którą wskazywała opinia zebranych. Ale już po pierwszym z nią tańcu gotów był postawić o zakład wszystkie swe miliony, nie tylko o to, że nieznajoma nie jest Fredą, ale i o to, że kibić tę trzymał już kiedyś w ramionach. Kiedy i gdzie — nie wiedział, ale powiało od niej czemś nieuchwytnie bliskiem, tak, że objęła go już tylko jedna myśl: kto to jest? Malemute Kid, zamiast dopomóc, odebrał mu ją skwapliwie i rozpoczął jakąś rozmowę poważnie i cicho. Najusilniej jednak bawił się Jack Harring-

ton. Raz nawet wziął Cal'a Galbraith'a na stronę i zwierzył mu się porywczo, że za wszelką cenę zdobyć musi tę kobietę. Ale było to tylko ostrogą dla króla z Circle City, mężczyzna jest bowiem poligamiczny z natury, zapomniał więc czempredzej obie, Madeline i Fredę i oddał się nowej pogoni.

Coraz częściej poczęto mówić na sali, że „Księżniczka“ nie jest Fredą Moloof. Ciekawość rosła. Była to nowa zagadka. Znali Fredę, a nie mogli jej znaleźć — tu zaś było coś, co niespodzianie znaleźli i czego nie znali. Kobiety nie mogły jej również rozpoznać, chociaż studjowały przecież każdą dobrą tancerkę w okolicy. Niektórzy braли ją za osobę z wyższych sfer urzędniczych, wplątana w humorystyczną eskapadę. Dowodzono, że zniknie z pewnością jeszcze przed zdejmowaniem masek. Chodziły też pogłoski, że jest to reporterka z „Cansas Star“, przybyła poto, żeby opisać ich wszystkich po dziewięćdziesiąt dolarów za kolumnę. Mężczyźni pracowali usilnie. Wagi — również.

O pierwszej po północy wszystkie pary zaprzestały tańca. Nadszedł czas zdejmowania masek. Co chwilę wybuchał teraz huczny śmiech, jak w stadku dzieci, puszczonych samopas. Nie było końca rozmaitym „och“ i „ach“, kiedy piękne tancerki kapitulowały jedna po drugiej. Olśniewająca „Zorza Północna“ stała się nagle ciemnonicą murzynką, której dochody z prania na mieście przewyższały pięćset dolarów miesięcznie. Nierozłączne „Królewna Zimy“ i „Żłudne Słońce“ ukazały nagle z pod masek czarne wąsiki, byli to bowiem dwaj bracia, złoci królowie Eldorado. Cal Galbraith stał przy jednej z naj-

bardziej obiecujących masek „Duch Polarny“, która jednak usilnie odwiekała chwilę odkrycia swego incognito. Naprzeciw niego stał Jack Harrington z „Księżniczką Rosyjską“. Reszta zdjęła już maski, a greckiej tancerki wciąż jeszcze nie było. Wszystkie oczy zwróciły się ku pozostałej grupie. Cal Galbraith podniósł maskę swej towarzyszki. Ukazała się śliczna twarz i błyszczące oczy Fredy. Wszczął się hałas nie do opisania, zagłuszony jednak po chwili nową falą ciekawości, skierowaną ku „Księżniczce“. Twarz jej wciąż jeszcze była zasłonięta i Jack Harrington przekomarzał się z nią zawzięcie. Ciekawi wspięli się na palce i wyciągnęli szyje. Jack szybko zerwał maskę swej damy — na sali nastąpił istny wybuch. Zakpiono z nich, co się zowie! Cały wieczór prześlęczyli z wyklętą Indjanką.

Ale ci, co wiedzieli, a takich było niemało, ucichli nagle i w sali zapanowało milczenie. Cal Galbraith porywczym krokiem i z surową twarzą podszedł do Madeline, przemawiając coś ostro w indyjskim narzeczu. Ona, jakby wcale nie widząc oczu na siebie zwróconych, odpowiedziała spokojnie po angielsku. Nie okazała też najmniejszego zmieszania i Malemute Kid podziwiał tylko z uśmiechem jej światowe wyrobienie i dumę. Król czuł się pobity i ośmieszony. Jego indyjska żona wzięła górę.

— Chodź — wykrztusił nareszcie — chodź do domu...

— Przepraszam najmocniej — odrzekła. — Przyjęłam właśnie zaproszenie Mister Harringtona do kolacji. Zresztą, nie zapowiedziano jeszcze końca balu.

Na to Harrington podał jej ramię, nie okazując naj-

lżejszego nawet zmieszania. W tejże chwili zbliżył się Malemute Kid.

Król z Circle City stał oszołomiony.

Dwukrotnie chwycił za broń i dwukrotnie Kid gotował się do skoku, chcąc rzucić się za nim. Ale odchodząca para weszła już spokojnie do bufetu, zarzuconego ostrygami, po pięć dolarów sztuka. Wszystkie pary poszły w ich ślady. Freda była nadąsana, ale weszła również. Miała dobre serduszko i mocny języczek, połknęła więc ostrugi swego towarzysza. Cal nie słyszał prawie, co do niego szczebiotała, bladł i czerwieniał kolejno, klnąc pocichu, ale ostro. W bufecie huczało, jak w ulu, po chwili jednak ucichło raptownie, kiedy Cal Galbraith wstał i zbliżyć się począł do stolika swej żony. I znów poszły zakłady o to, jakie też będzie rozwiązanie intrygi.

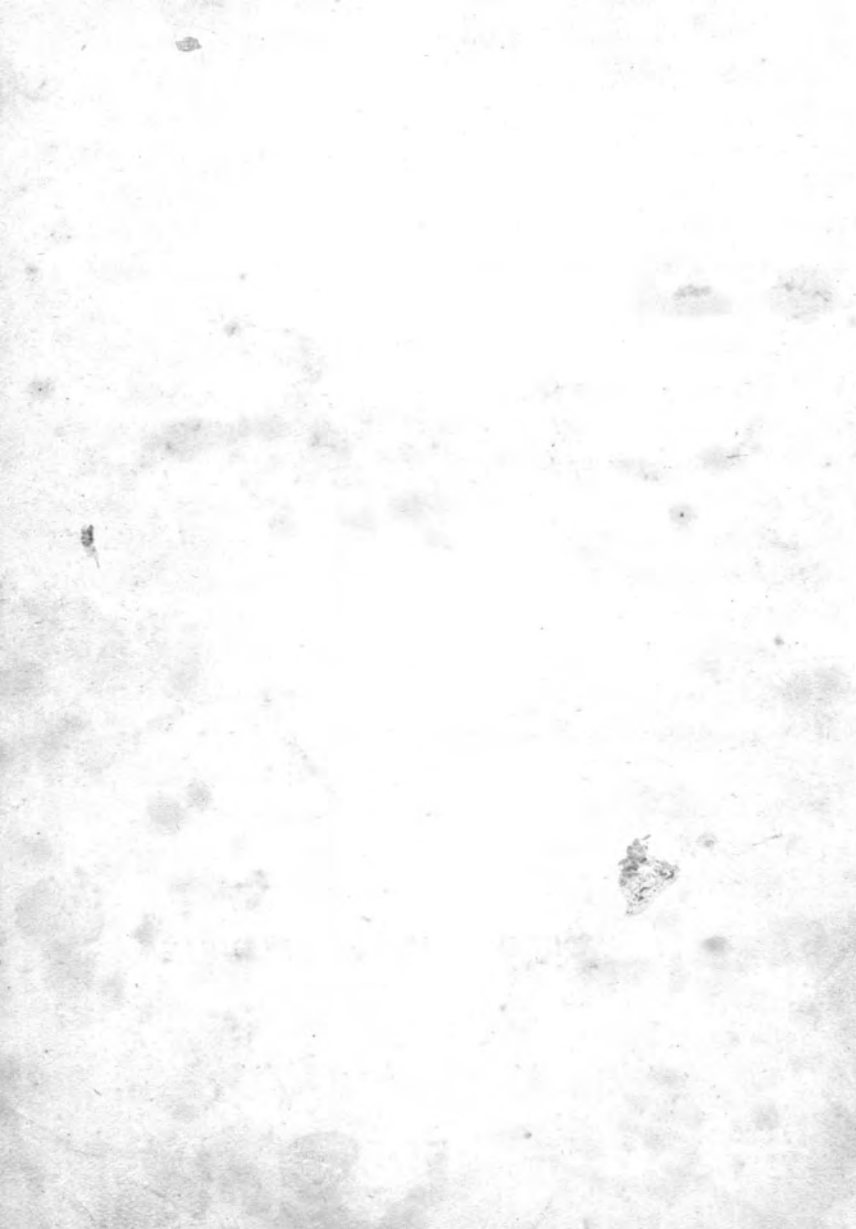
Wszyscy wstrzymali oddechy i zamienili się w oczy i uszy. Stalowe źrenice Harringtona iśniły spokojnie, ale pod zwieszonym obrusem ręka jego ścisnęła broń. Madeline spojrzała jakby przypadkowo i z nader małym zainteresowaniem.

— Czy mogę... czy mogę prosić o następnego walca?... — wyjąkał król.

Małżonka króla spojrzała na karnecik i skinęła głową.



PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA



Charley z Sitki dokonał niemożliwości. Byli prócz niego Indianie, co równie dobrze znali mądrość Wielkiego Szlaku, ale on jeden znał mądrość białego człowieka, honor Szlaku i jego prawo. Nielatwo mu to przyszło. Umysł krajowców jest bowiem z przyrodzenia leniwy i fakty zdolne są uogólnić się w pojęcia dopiero przez częste powtarzanie. Charley z Sitki od najmłodszej młodości rósł pomiędzy białymi, aż wreszcie zdecydował pozostać z nimi nazawsze, zerwawszy ze swoim plemieniem. Jednakże przy całym zachwycie dla białych z trudnością przyswajał sobie podstawową treść ich istoty: honor i prawo. Dopiero po latach wielu — zrozumiał. A kiedy zrozumiał nareszcie — prześcignął nawet białych. Tak, jako Indianin dokonał naprawdę niemożliwości.

Na tem tle żywił pewną pogardę dla swego plemienia. Zwykle ukrywał ją bardzo starannie, dziś jednak spadła nagle niepowstrzymanym potokiem przekleństw na głowy Kah-Chucte i Gowhee. Obaj wili się przed nim, jak bite psy, zbyt tchórzliwe, żeby skoczyć do gardła, zbyt rozjuszone, żeby schować kły. Brzydkie to były stworzenia! Charley również nie był ładny. Mięśnie ich twarzy

pokrywały wrzody, które pękając, zamarzały natychmiast, tworząc twardą, ciemną skorupę. Oczy płonęły w głębi czaszek dzikim ogniem, który zapalał głód i rozpacz. Ludziom w podobnym położeniu, zwłaszcza nie posiadającym poczucia honoru i prawa — ufać nie można.

Wiedział o tem Charley z Sitki i to właśnie zmusiło go przed dziesięciu dniami do odebrania strzelb wszystkim Indjanom w obozie. Pozostawił tylko dwie strzelby: dla siebie i kapitana Epingwell'a.

— Rozpalcie ogień — rozkazał, wyjmując z kieszeni cenny skarb: pudełko zapalek i kawałki suchej kory.

Dwaj Indjanie zaczęli powoli i ponuro zbierać chróst. Z trudnością trzymali się na nogach, ślaniając się, jak pijani, odpoczywali co chwila, a kolana ich stukaly o siebie, jak kastaniety. Po każdej wiązce stawali, śmiertelnie zmęczeni; niekiedy oczy ich wyrażaly cierpliwą rezygnację i tępy ból, czasami jednak własne prawo zdawało się buchać z nich dzikim krzykiem, tym najprawdziwszym krzykiem całego żyjącego świata: „Ja, ja, ja również chcę żyć!“

Lekki wiatr powiał z północy, szczypiąc odkryte części skóry i przeszywając mroźnymi igłami futra i mięśnie aż do kości. Kiedy ogień rozpalił się porządnie i stopił duży krąg śniegu wokół, Charley zmusił opornych towarzyszy do rozpięcia namiotu, czyli poprostu koldry, którą rozciągnąć należy od strony wiatru równolegle do ogniska i pochylić o 45°. (Osłania wtedy od wiatru i kieruje ciepło na siedzących w szalasię). Potem Indjanie ułożyli posłanie z sośniny, żeby ciała nie dotykały śniegu. Skończywszy robotę, Kah-Chucte i Gowhee

poczęli opatrywać sobie nogi. Zmarzłe mokasyny zdarły się od długiej podróży, a ostry lód na rzece pokrajał je w kawalki. Taki sam los spotkał krajowe pończochy, robione sposobem Sivash'ów. Kiedy nareszcie strzępki skór i welny odmarzły przy ogniu i opadły, ukazały się śmiertelnie białe palce. Bezgłośnie opowiadały one prostą historję Szlaku.

Charley pozostawił tych dwóch przy ognisku, sam zaś zawrócił w stronę, z której przyszedł. Jego również kochała ciepła i odpoczynek. Chciało się usiąść przy ogniu i rozciągnąć znużone członki. Znowu jednak przemogły: honor i prawo. Włókł z trudnością ciało przez ośnieżone pole, choć każdy ruch budził protest, choć buntowały się wszystkie mięśnie. Kilka minut, kiedy pośród lodu błysnęła woda, Charley zmuszony był przyśpieszyć kroku, a kruchy lód trzeszczał pod nim i groził. Wtedy śmierć podchodziła łagodna i prosta — lecz nie chciał jeszcze umierać.

Po długiej chwili za zakrętem rzeki ukazało się dwóch Indian i wtedy niepokój Charley'a znikł odrazu. Indianie potykali się i upadali, jakby pod ogromnym ciężarem, chociaż ładunki dźwigane na plecach wynosiły zaledwie po kilka funtów. Zapytał ich o coś niecierpliwie i, otrzymawszy widocznie zadowolającą odpowiedź, przyśpieszył kroku. Po chwili spotkał dwóch białych, podtrzymujących białą kobietę. Ci również staniali się, jak pijani, a nogi ich podcinała słabość. Kobieta, leciutko wsparta na nich, starała posuwać się o własnych siłach. Na jej widok błyskawica radości przeleciała ciemną falą po twarzy Charley'a. Żywił on głębokie uwielbienie do Mrs. Epping-

well. Widział już wiele białych kobiet, ale tę pierwszą widział w podróży.

Kiedy kapitan Eppingwell zaproponował mu udział w ryzykownej wyprawie, obiecując dobre zyski, Charley tylko pokiwał z niedowierzaniem głową. Droga była nieznaną, przez mroczną pustynię Północy i Charley wiedział aż nadto dobrze, jak śmiertelne trudności tam czekają. Dowiedziawszy się po chwili, że i żona kapitana wybiera się w podróż — odmówił ostro i stanowczo. Gdyby to była kobieta z jego rasy, nie namyślałby się wcale; lecz kobieta z Południa — nie, nie, one wszystkie są zbyt słabe, zbyt wątłe w podobnych wypadkach...

Tak, Charley z Sitki nie znał jeszcze tego rodzaju kobiet. Przed pięcioma minutami nie śnił nawet, że weźmie jakikolwiek udział w wyprawie, ale kiedy sama pani kapitanowa podeszła ze swoim przedziwnym uśmiechem i zaczęła poprostu, czystą angielszczyzną rozmawiać z nim o szczegółach podróży, bez cienia prośby lub namowy — zgodził się natychmiast. Gdyby zobaczył słabość w oczach, gdyby usłyszał drżenie głosu lub odwoływanie się do względów należnych jej płci, Charley zastygłby, jak stał. Ale jasno patrzące oczy i jasno brzmiące słowa, swobodnie zaznaczające zrozumiałą i naturalną równość — poprostu zmały mu rozsądek. Poczuł, że to jakiś nowy, nieznanany mu dotychczas typ kobiety. I już po kilku dniach wspólnej podróży rozumiał, dlaczego synowie takich kobiet ujarzmili morza i lądy i czemu synowie kobiet jego rasy musieli się poddać.

Słodka i cicha! Dzień po dniu strzał na nią zme-

czoną, osłabioną, lecz nie skarżącą się nigdy i niepoko-
naną. Patrzał i te same wciąż słowa wracały mu, jak
refren, na usta. Słodka i cicha! Wiedział, że nóżki jej
stworzone były do miękkich ścieżek ciepłego Południa,
obce obutej w mokasyny trosce Północy i ostrym poca-
łunkom mrozu. Patrzał i dziwił się wątłym nóżkom,
jak dzień po dniu zwyciężają trud i mękę. Uśmiech i ser-
deczne słowo znalazła codziennie dla każdego, nawet dla
ostatniego indyjskiego tragarza. Z biegiem czasu, kiedy
droga stawała się wciąż uciążliwsza, siły kobiety jak
gdyby rosły, a kiedy Kah-Chucte i Gowhee, upewniający
przedtem, że znają drogę, jak własne pięć palców, przy-
znali się, że nie wiedzą zupełnie, gdzie są — ona jedna
wtrąciła łagodne słówko przebaczenia pomiędzy przekleń-
stwa mężczyzn. Śpiewała im długo tego wieczora, do-
póki rozpacz i zmęczenie nie opadły z nich lekko, a no-
wa nadzieja wstąpiła w serca. Kiedy wreszcie zabrakło
żywności i każdy kęs wymierzany był skąpo, zbunto-
wała się przeciwko milczącej znowie męża z Charley'em
i zażądała takich samych porcyj, jak wszyscy pozostali.

Charley z Sitki dumny był, że zna tę kobietę. Nowa
treść, nieznane dobro weszło w jego życie przez samą
jej obecność. Dotychczas był panem sobie; nie skręcał
w prawo ni w lewo na rozkaz żadnego mężczyzny, kiero-
wał się sam własnym rozsądkiem i liczył tylko z własnym
zdaniem. Teraz po raz pierwszy poczuł głos zewnątrz,
przyzywający to, co było w nim najlepszego. Spojrze-
nie uznania z głębi jasnych oczu, słowo podziękii, wypo-
wiedziane dźwięcznym głosem, drgnienie warg w przelot-
nym uśmiechu — Charley szedł naprzód, czując się

równy bogom. Były to nowe podniecia dla jego męskiej dumy; po raz pierwszy ocenił naprawdę mądrość białych.

Ich dwoje podtrzymywało odtąd słabnące serca towarzyszy.

Twarze dwóch mężczyzn i kobiety rozjaśniły się na widok Charleya. On przecie był faktycznym ich przewodnikiem. Ale Charley z Sitki, pozornie niewzruszony, pokrywający zazdrośnie troskę i radość tarczą żelaznej surowości, zapytał tylko o idących za nimi, wskazał miejsce obozu i poszedł dalej. Po chwili spotkał Indjanina, nie obciążonego żadnym ładunkiem. Biedak włókł się, kulejąc, wargi jego były zaciśnięte, a oczy utkwione w zmartwiałą od mrozu nogę, co służyć mu już miała zaledwie dni kilka. Nałożono starannie opatrunek, ale Charley wiedział, że kres życia Indjanina był bliski, rzucił mu więc tylko kilka dobrych słów. Po chwili z za drzew ukazało się jeszcze dwóch Indjan, którym polecono prowadzić trzeciego w partji białego mężczyznę, imieniem Joe, upadającego już ze znużenia. Indjanie szli sami. Widocznie porzucili białego. Charley'owi dość było jednego spojrzenia, żeby zrozumieć, że jeszcze chwila, a Indjanie odmówią posłuszeństwa. To też nie zdziwił go błysk dwu noży, wydobytych z za pasa w odpowiedzi na jego rozkaz odszukania porzuconego człowieka.

Cóż za litości godny widok! Trzech chwiejących się z wysiłku ludzi mierzy ostatnie swe siły w obliczu potężnej, mrocznej pustyni! Po chwili dwaj ustąpili przed razami kolby i zawrócili, jak zbite psy. Po upływie dwóch godzin podeszli pokornie do ogniska, włokąc

napółżywego Joe. Charley szedł za nimi, reszta podróżnych oddawna już spoczywała w szalasię.

— Słów kilka, towarzysze, zanim zaśniemy — przemówił Charley, widząc, że zjedzono już skąpe racje prząsnego chleba. Do Indjan zwracał się w ich dialekcie, tłumacząc potem białym treść swej przemowy.

— Słów kilka, towarzysze, dla waszego własnego dobra, dla uratowania życia. Chcę wam dać prawo. Śmierć temu, kto je złamie! Minęliśmy wzgórze Milczenia i jesteście teraz u źródeł rzeki Stuart. Przejdzie jeszcze jeden sen, może kilka, może dużo jeszcze snów, aż nareszcie dojdziemy do ludzi z nad Yukonu, co mają wiele, wiele żywności. Tymczasem konieczne jest przestrzeganie prawa. Dzisiaj Kah-Chucte i Gowhee, którym kazałem torować drogę, zapomnieli, że są mężczyznami i uciekli, jak przestraszone dzieci. Zapomnieli? Niech i tak będzie. Tym razem i my im zapomnimy. Ale odtąd — niech pamiętają. Jeśli zdarzy się, że nie... — dotknął groźnie strzelby. — Jutro będą oni nieśli mąkę i będą uważali, żeby biały człowiek Joe nie leżał w śniegu na drodze. Miarki mąki są policzone. Jeśli choć jednego kubka zabraknie wieczorem... Rozumiecie mnie? Dzisiaj byli inni jeszcze, co ośmielili się zapomnieć. Moose-Head i Three-Salmon zostawili białego Joe na śniegu. Niechże już odtąd nie zapominają. O świcie wstaną i pójdą torować drogę. Słyszeliście prawo? Strzeżcie się je złamać!

Charley z Sitki pozostawiał partji zupełną swobodę poruszania się. Przestrzeń od Moose-Head i Three-Salmon, torujących drogę, aż do Kah-Chucte, Gowhee i Joe, wynosiła około mili. Każdy szedł, padał i odpoczywał,

kiedy chciał. Linja marszu wyglądała, jak łańcuch o nierównych odstępach między ogniwami. Każdy czuł, że siły jego wyczerpały się już ostatecznie, ale odnawiały się cudownym jakimś sposobem. Co chwila ktoś padał i pewny był, że już nie wstanie. Ale wkrótce wstawał i ruszał naprzód, by znowu upaść i powstać. Ciało ustępowało — zwyciężała wola, ale każdy jej triumf był tragiczny. Indjanin z odmrożoną nogą nie mógł już iść i pełznął na czworakach. Zatrzymywał się rzadko, bo wiedział, jak droga jest cena odpoczynku. Nawet wargi Mrs Eppingwell zastygły w kamiennym uśmiechu, a szeroko otwarte źrenice jej były, jak ślepe. Odpoczywała często, przyciskając do serca dłoń w futrzanej rękawicy, chwiejąc się i oddychając z trudnością.

Joe, biały człowiek, przeszedł już granicę cierpienia. Nie prosił nawet, żeby zostawiono go w spokoju i pozwolono umrzeć. Uciszył się i ukoił trucizną gorączki. Kah-Chucte i Gowhee brutalnie popychali go naprzód, wywierając w ten sposób dziką złość, wezbraną oddawna. Los wydawał im się szczytem niesprawiedliwości; serca pełne były nienawiści i strachu. Czemu tracić mają ostatnie siły na wleczenie nawpółżywego stworzenia? Być posłusznym, znaczyło umrzeć. Odmówić posłuszeństwa — tu przed oczyma ich stawało żelazne prawo Charley'a i jego strzelba.

Nad wieczorem Joe padał coraz częściej i coraz trudniej było go podnosić, to też Indjanie pozostali daleko za innymi. Czasami padali wszyscy trzej, bo Kah-Chucte i Gowhee osłabli również. A przecież na własnych plecach nieśli życie, i siłę, i ciepło! W małym woreczku mąki kryły

się wszystkie potęgi świata! Nie mogli nie myśleć o tem. W tem więc, co zaszło, nie było doprawdy nic dziwnego: upadli kiedyś u stóp wielkiego drzewa, na kupę zeschłych gałęzi, z których każda zdawała się czekać na zapalną. Niedaleko widać było w lodzie dużą szczelinę. Kah-Chucte spojrział na drzewo, potem na wodę. Gowhee uczynił to samo. Potem spojrzeli po sobie. Nie padło ani jedno słowo. Gowhee począł rozpalać ognisko, Kah-Chucte napelnił ołowiany kubek wodą i zagrzał ją. Joe bredził w obcym dla nich języku. Zmieszali mąkę z ciepłą wodą na coś w rodzaju rzadkiego ciasta i pożerali kubek po kubku. Joe nie dostał ani krzty, ale nie wiedział o tem. Nie czuł już nic, nawet tego, że mokasyny na wyciągniętych nogach poczęły dymić między gorącymi węglami. Zawieja śnieżnych kryształików powiała cicha, puszysta, kojąca, zarzucając ich białym pokryciem. Mogliby już teraz iść łatwo w długą, długą drogę, gdyby przeznaczenie nie rozegnało nagle chmur i nie rozjaśniło powietrza. Jeszcze dziesięć minut, a byłiby ocaleni. Tymczasem Charley z Sitki obejrzał się przypadkiem i nagle zrozumiał wszystko: zobaczył dym.

Spojrzał przed siebie, na tych, co byli wierni prawu, a potem na Mrs Eppingwell.

Podszedł do winowajców.

— Cóż, mili towarzysze, zapomnieliście znowu, że jesteście mężczyznami? Dobrze. Bardzo dobrze. Mniej będzie gąb do jedzenia.

To mówiąc, Charley odebrał im woreczki z mąką i rzucił sobie na plecy. Potem począł kopać i potrząsać Joe, dopóki nie doprowadził do przytomności. Wtedy

pchnął go na drogę i zmusił do ruchu. Indianie tymczasem próbowali się wyśliznąć i pierzchnąć niepostrzeżenie.

— Ej tam! Stój, Gowhee! I ty również, Kah-Chucte! Czyż mąka dodała tyle siły waszym nogom, że umykać chcecie przed ołowiem strzelby? Bądźcież mężczyznami w ostatniej chwili i cieszcie się, że umieracie z pełnym żołądkiem. Marsz, stańcie tyłem do lasu, ramię przy ramieniu. Marsz!

Dwaj mężczyźni usłuchali cicho, bez trwogi. Bo wszak przyszłość tylko przygniata człowieka — nigdy terazniejszość.

— Ty, Gowhee, masz żonę i dzieci i jurtę jelenią w Chippewyan. Jak chcesz nimi rozporządzić?

— Oddaj żonie to, co miało być mojem według słów kapitana. Koldry, paciorki, tytoń i pudło co wydaje dziwne dźwięki na sposób białych ludzi. Powiedz jej, że umarłem w podróży, ale nie mów dlaczego.

— A ty, Kah-Chucte, co nie masz żony, ani dziecka?

— Mam siostrę, żonę faktora w Koshim. Mąż bije ją i nie jest szczęśliwa. Oddaj jej wszystko, co mi się według kontraktu należy i poradź, żeby wróciła do swego plemienia. Gdybyś zaś kiedy spotkał jej męża i zechciał go zabić, zrobiłbyś doprawdy piękny uczynek. On bije moją siostrę, a ona go się boi.

— Dobrze. Czy jesteście zadowoleni, że umieracie zgodnie z prawem?

— Jesteśmy.

— A więc, żegnajcie, mili towarzysze. Życzę wam

ciepłego ognia i garnka pełnego stawy, zanim dzień zajdzie.

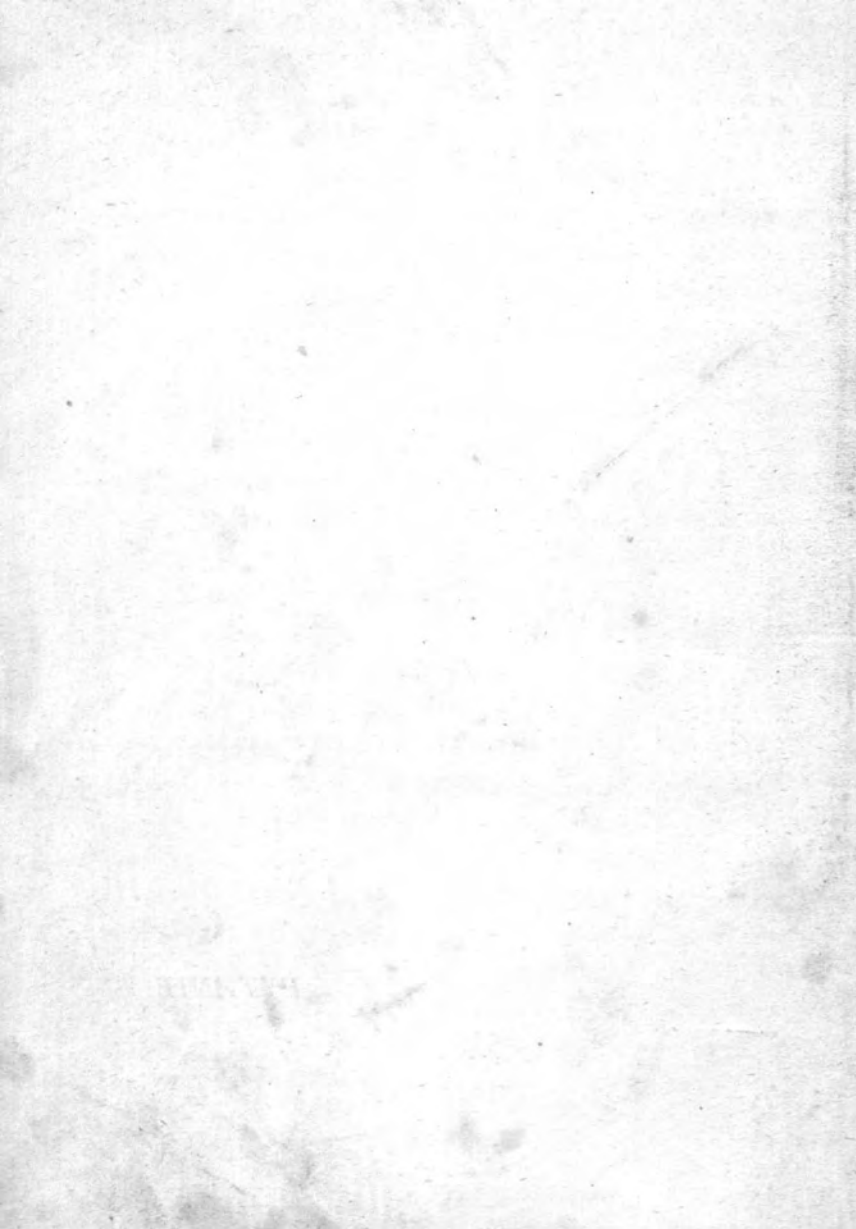
Powiedziawszy to, podniósł strzelbę do ramienia i liczne echa rozbiły ciszę. Zaledwie jednak umilkły za lasem, kiedy inne strzały odezwały się w oddali. Strzałów było wiele, a w partji przecie tylko jedna strzelba.

Charley spojrział przelotnie na dwóch ludzi leżących cicho, uśmiechnął się skrycie do tajemniczej mądrości białych i pośpieszył szybko na spotkanie przybyszów z nad Yukonu.





PYTANIE



Krótko mówiąc, Mrs. Sayther przemknęła przez Dawson, jak meteor. Przybyła wiosną, na psach, z francusko-kanadyjskimi „voyageurs“, zabłysła olśniewająco przez kilka tygodni i — odjechała w górę rzeki, skoro tylko ruszyły lody. Dawson, mało odwiedzany przez kobiety, zdumiony był tym nagłym wyjazdem. Cztery tysiące mieszkańców odczuło sieroctwo i osamotnienie, dopóki nie wybuchł strejk w kopalniach i póki dawne wrażenia nie ustąpiły miejsca nowym. Całe Dawson zachwycone było Mrs. Sayther — czarująca i nadomiar wszystkiego — wdowa. Natychmiast otoczył ją poczet złotych królów Eldorado, urzędników i romantycznych młodzieńców, spragnionych szelestu niewieścich szatek.

Kopalniani inżynierowie szanowali pamięć jej zmarłego męża, starego pułkownika Sayther, podczas gdy w Syndykacie i na mieście kursowały przerażające legendy o jego bogactwie i machinacjach. Wogóle znany był, jako jeden ze znacznych złotych przemysłowców w Stanach i jako jeden z najznacniejszych w Londynie. Dlaczego więc wdowa — ta najpiękniejsza z kobiet — tak pośpiesznie zjawiła się w Dawson?

Oto było pytanie.

Ale ludzie Północy są realni i żywią słuszną pogardę dla teorii — wraz z głębokim uznaniem dla faktów.

A Karen Sayther była niewątpliwym i ponętym faktem. Ją samą jednak mało obchodziły wszelkie adoracje i przez cztery tygodnie niezliczone odkosze skrzyżowały się zawrotnie szybko z tylomaż oświadczeniami.

Znikła. Z nią razem zniknął fakt, lecz pozostało pytanie.

Do pewnego stopnia rozjaśniła je następująca okoliczność: ostatnia ofiara nieszczęśliwej miłości, Jack Caughran, bezskutecznie proponujący pięknej wdówec prawo do swego serca i pięciuset stóp złotonośnego piasku w Bonanzie — zdecydował zalać robaka w jakiejś nocnej pijatyce. Aż tu nagle, którejś nocy, zetknął się oko w oko z Pierrem Fontaine, który był głównym przewodnikiem wyprawy Karen Sayther. Spotkanie to skończyło się wielkiem zalewaniem i wzajemną szczerością, skorą do zwierzeń.

— He? — belkotał poufale Pierre Fontaine — pyta pan, dlaczego Mrs. Sayther złożyła wizytę tym okolicom? Lepiejbyś pan zwrócił się do niej. Nie wiem nic ponad to, że wciąż pyta o pewnego mężczyznę. Pierre, powiada do mnie, musisz mi znaleźć tego człowieka, dam ci dużo pieniędzy, dam ci tysiąc dolarów. Imię, co? Ach oui, imię jest, że tak powiem, Daveed Payne. Oui, monsieur, Daveed Payne. Ona wciąż powtarza to imię. A ja rozglądam się i szukam i pracuję, jak sam djabeł, żeby znaleźć tego przekłętego chłopca i moje tysiąc dolarów. Do licha! He? Ach, oui, przyjezdni z Circle City mówili mi, że go znają. Podobno jest teraz w Birch Creek. A madame? Madame powiada „bon“ i cieszy się, jak nie wiem z czego. Potem powiada do mnie: „Pierre, zaprzęgaj psy,

jedźmy prędko! Jeśli znajdziemy tego człowieka, dostaniesz drugie tysiąc dolarów“.

A ja wolam: „oui, prędko, jedziemy, madame!“

Jestem pewien, że dwa tysiące dolarów — moje! Mądry chłopak! Bo dużo ludzi przyjeżdża z Circle City i powiadają, że Daveed Payne był w Dawson i pojechał dalej. Więc madame i ja pojedziemy również dalej.

Oui, monsieur, któregoś dnia powiada madame: „Pierre, idź-no kupić łódkę“. I daje mi pięćset dolarów. „Jutro wyruszamy w górę rzeki“. Ach, oui, jutro! I ten szelma Charley z Sitki wziął ode mnie za łódkę pięćset dolarów. Do licha!“

Jack Caughran nie omieszkał pochwalić się tą rozmową i całe Dawson gubiło się w domysłach, co zaczyna jest Daveed Payne i co wiąże go z Karen Sayther?

Faktem było jednak, że w dniu wspomnianym przez Pierra, Mrc. Sayther ze swoją czeredą „voyageurs“ odbiła od wschodniego brzegu Klondike City i udała się w górę rzeki. Przecięli Yukon zrzęcznie, żeby ominąć porohy, i zniknęli między niezliczonymi wyspami południowej strony.

2

— Oui, madame, dojechaliśmy właśnie. Pierwsza, druga, trzecia, tak, tak, trzecia wyspa powyżej Stuart River. To tutaj.

To mówiąc, Pierre Fontaine skierował czołno przeciw prądowi. Łódka oparła się w małej zatoce, Pierre zrzęcznie skoczył na ląd i przymocował linkę na brzegu.

— Chwileczkę, madame, pójdę zobaczyć.

Zmieszany chór psich głosów dał się słyszeć natychmiast, skoro tylko Pierre znikł z oczu. Po chwili wrócił z wiadomościami.

— Oui, madame, jest chata. Zajrzałem przez okno. Nikogo niema. Ale człowiek, który tam mieszka, odszedł niedaleko i nie na długo, bo zostawił psy w domu. Wróci prędko, o zakład!

— Pomóż mi wysiąść, Pierre, łódka zmęczyła mnie porządnie; mógłbyś co prawda urządzić ją trochę wygodniej.

Z puszystego futra, usłanego na dnie łódki, podniosła się Karen Sayther w całym swym smukłym przepychu. Podobną była do wiotkiej lilji, ale wiotkości zaprzeczył mocny ruch, z jakim wsparła się na ramieniu Pierra, napięcie krzepkich, lecz kobiecych mięśni, a potem wspinały wysiłek lekkich nóg, co uniósł ją w swobodnym skoku na wysoki brzeg.

Ciało zarysowane delikatną linją kryło cudowną, przedziwną siłę młodości.

Pomimo całej pozornej bez troski, z jaką wysiadła na ład, rumieniec na jej twarzy cieplejszy był niż zwykle i serce biło niespokojnie a mocno. Jak gdyby z pewną trwożną ciekawością zbliżyła się do chaty, a barwa lic stała się aż gorącą z widocznej radości.

— Proszę spojrzeć, madame. — Pierre wskazał na porzucone trzaski rąbanego drzewa — zupełnie świeże, najwyżej dwa, trzy dni tu leżą.

Mrs. Sayther twierdząco skinęła głową. Chciała zajrzeć przez małe okienko do izby, ale krył ją napojony tłuszczem pergamin, zastępujący szybę. Wtedy pode-

szła do drzwi i zlekka podniosła zasuwę. Ale po chwili zmieniła widocznie zamiar i zasuwę opadła zpowrotem na miejsce. Potem kobieta uklękła nagle i pocałowała świeżo ciosany próg.

Gdyby Pierre Fontaine zauważył ten ruch, nie dałby tego nigdy poznać po sobie i spostrzeżeniem tem nie podzieliliby się z nikim. Za chwilę jeden z wioślarzy zaskoczony został niespodziewaną surowością jego głosu.

— Hej! Wy! Le Goire! Urządźcie tu miękkie posłanie! Więcej futer! Więcej kołder! Dalej!

Gniazdko w łódce było już zburzone i większa część futer przeniesiona na brzeg, gdzie Mrs. Sayther spoczęła wygodnie. Póллеżąc patrzyła przed siebie na szeroko rozlane wody Yukonu i czekała.

Ponad wzgórzami dalekiego brzegu niebo zasnutę było dymem niewidzialnych pożarów leśnych, przez tę szarość przerywały się słabe promienie wieczornego słońca, snującego po ziemi czerwoną poświatę i mgliste cienie. Aż do horyzontu — puszyste od sosen wyspy, ciemne wody, szczeliny skalne, ścięte wiecznym lodem, bujną nienaruszona dzikość. Żaden ślad ludzkiego życia nie mącił samotności, żaden dźwięk — ciszy. Kraj zdawał się być pograżony w niebycie, zasnuty mgłą nieprzejrzałej, wiecznej tajemnicy bezgranicznych przestrzeni.

Może to właśnie podnieciło Mrs. Sayther, zachowywała się bowiem bardzo niespokojnie, spoglądając wciąż w górę lub w dół Yukonu, obserwując ciemniejące brzegi, lub zasłonięte koryto rzeki. Po upływie godziny posłano wioślarzy w głąb łądu dla przygotowania nocnego obozowiska. Pierre jednak pozostał ze swą panią.

— Ot, tam jedzie — szepnął nagle po długim milczeniu, przechyliwszy się ponad wodą w stronę wysp.

Łódź, z wiosłami migającymi z obu stron, sunęła gładko w kierunku prądu. U steru męska, u dziobu kobieca postać, chyliły się rytmicznie nad wiosłami. Mrs. Sayther nie zauważyła kobiety, dopóki łódka nie podeszła zupełnie blisko i wtedy dopiero uwagę jej pochłonęła dziwna a niezwykła piękność nieznajomej. Pod obcisłą, fantastycznie zdobioną kurtką z jeleniej skóry rysowały się wyraźnie smukłe kształty postaci, jaskrawa chusta, malowniczo zarzucona na głowę, osłaniała zlekka wielką masę błękitno-czarnych włosów. Ale dopiero twarz — cudownie rżnięta w złotawym bronzie, przykuła rozedrgane spojrzenie Mrs. Sayther.

Oczy przeszywające, czarne, wielkie, nieuchwytnie skośne, jak chce rasa, paliły się w cieniu mocnych prostolukich brwi. Ściągnięte policzki o drobnych, choć zlekka wydatnych kościach, spotykały nieznacznie młodzieńcze usta, o wąskich wargach, pełnych słodkiej siły. Była to twarz starożytnej mongolskiej rasy, która jak gdyby po długich wędrówkach przez szereg pokoleń powróciła w całej swej czystości. Wrażenia dopełniał rzeźbiony nos, o cienkich, drżących nozdrzach i charakterystycznym wyrazie orlej dzikości. Wyrazem tym oddychała nie tylko twarz, ale cała istota dziewczyny. Był to właściwie typ tatarski, udoskonalony aż do ideału i plemię czerwonoskórych Indjan może być dumne, jeśli raz jeden w łańcuchu pokoleń wyda tak wyjątkowe kształty. Wiosłowała długimi pociągnięciami, zupełnie zgodnie z mężczyzną, potem zaś pomogła skierować łódź przeciwko prą-

dowi i lekko przybić do brzegu. Jeszcze chwila, i stała już na lądzie, ciągnąc z łódki zapomocą sznura wielką połąć świeżo ubitego jelenia. Mężczyzna pośpieszył za nią i szybkim ruchem wepchnął łódkę na brzeg. Psy otoczyły ich gwarnem, drgającym kołem. Podczas gdy dziewczyna skierowała się ku chacie, witając się z psami — wzrok mężczyzny padł na Mrs. Sayther, stojącą opodal.

Spojrzał — przetaił oczy niedowierzająco, jakby go wzrok mylił — i znowu patrzył.

— Karen — odezwał się poprostu, podchodząc z wyciągniętą dłonią. — Myślałem przez chwilę, że śnię. Tej wiosny na krótko oślepił mię śnieg i sądziłem, że oczy znowu splatały mi figła.

Rumieniec Mrs. Sayther pociemniał, a serce ścisnęło się boleśnie. Przygotowana była na wszystko — tylko nie na to grzeczne a proste wyciągnięcie dłoni; opanowała się jednak i serdecznie ucisnęła męską rękę.

— Obiecywałam często, że przyjadę tu, Dave, i byłabym wcześniej wykonała tę groźbę — ale —

— Ale... nie dałam znać ani słówkiem, — zaśmiał się Daveed Payne, spojrzawszy w stronę Indjanki, wchodzącej do chaty.

— O, rozumiem wszystko, Dave, ja na twojem miejscu postąpiłabym tak samo. Ale teraz — przyszłam.

— Zbliź się więc jeszcze bardziej, aż do chaty, odpocznij i posil się, — odpowiedział zręcznie, nie słysząc, lub nie chcąc słyszeć akcentu jej głosu. — Musisz być bardzo zmęczona? Z której strony przyplnęliście? Zdo-

lu? Zimowałeś chyba w Dawson, lub przyjechałaś tam z ostatnią wodą? To twoi ludzie?

Obrzucił wzrokiem jej „voyageurs“ i szeroko otworzył drzwi chaty.

— Zeszłej zimy jechałem tędy na psach z Circle-City — ciągnął dalej — i zatrzymałem się chwilowo z powodu rozmaitych trudności, wynikłych w podróży. Myślę tymczasem poszukiwać złota w Henderson-Creek, a jeśli mi się nie powiedzie, to pójdę w górę Stuart River.

— Zmieniłeś się chyba niebardzo — prawda? — spytała nagle, starając się sprowadzić rozmowę na tory bardziej osobiste.

— Trochę więcej mięśni i trochę mniej mięsa — tak? Wszak o tem myślałeś?

Wzruszyła ramionami w milczeniu i popatrzyła na indyjską dziewczynę, w półmroku izby przyrządzającą wielkie kawały jeleniego mięsa, szpikowane słoniną.

— Długo zatrzymałaś się w Dawson? — Mężczyzna ociosywał siekierką jakiś pień i zadał pytanie, nie podnosząc głowy.

— O, kilka dni zaledwie, — odpowiedziała, obserwując wciąż dziewczynę i prawie nie słysząc jego słów. — Co mówiłeś? Aha, w Dawson? — Miesiąc właściwie, i rada jestem, że nie dłużej. Mieszkańcy Północy są zbyt pierwotni, jak wiesz, i za mało opanowani w uczuciach.

— Cóż, oni również mają własne racje. Porzucili konwenanse wraz z cywilizacją. Ale wiesz, doskonale wybrałaś czas do podróży; zdążysz uprzedzić jeszcze se-

zon moskitów i do szeregu doświadczeń nie przybędzie ci to nowe, a niezbyt miłe.

— Być może. Ale może opowiesz mi coś o sobie, o swoim życiu? Jakich masz tu sąsiadów w okolicy? — To mówiąc, patrzyła na dziewczynę, która klękawszy na ziemi, rozcierała dwoma kamieniami ziarenka suszonej kawy. Upór i siła, z jaką spełniała tę czynność, świadczyły o nerwach równie pierwotnych, jak owa praca.

Daveed Payne zauważył zdziwione spojrzenie Karen i cień uśmiechu przemknął po jego wargach.

— Było tu trochę ludzi — odrzekł, — przybyszów z Missouri i z Corn-Velis, ale odjechali już w dół rzeki do Eldorado na robotę.

Mrs. Sayther rzuciła na dziewczynę badawcze spojrzenie:

— Zapewne jednak mieszka tu dużo Indian w okolicy?

— Wszyscy mieszkają oddawna poniżej Dawson. Ani jednego krajowca niema w całej okolicy. Za wyjątkiem mojej Winapie, która zresztą pochodzi z Koyo-Kuk, leżącego o tysiąc mil w dół rzeki.

Nieoczekiwana słabość owinęła ciało Karen. Chociaż uśmiech zainteresowania nie schodził z jej warg, twarz mężczyzny wydała się nagle daleka, jakby widziana przez teleskop, a drewniane belki chaty zakołowały, niby pijane. Oparła się o stół i dopiero po chwili odzyskała świadomość czasu i przestrzeni. Mówiła już niewiele, głównie o pogodzie i okolicy, podczas, gdy mężczyzna wdał się w szczegółowy opis różnic technicznych, jakie zachodzą pomiędzy płytkiem letniem kopaniem w Lo-

wer Country, a głębokiem zimowem w Upper-Country.

— Nie pytasz nawet dlaczego i poci przyjechałam na Północ? — wyrzekła nagle.

Wstali od stołu i Daveed Payne znów zabrał się do siekiery.

— Czy list mój doszedł?

— Ostatni? Nie, nie przypuszczam. Najprawdopodobniej wędruje jeszcze dokoła Birch Creek albo leży sobie gdzieś w Lower River. Tutejsza poczta, to istny skandal; ani porządku, ani systemu, ani...

— Nie bądźże jak z drewna, Dave! Pomóż mi! — zawołała ostro i jakby z odcieniem rozkazu, pozostałego z dawnych czasów. — Nie zapytasz mnie o nic i nikogo? O tych, których znaleźliśmy kiedyś? Czyż świat nie obchodzi cię już wcale? Mąż mój umarł..

— Czyż być może? Jaka szkoda! Kiedy?...

— Daveed! — Gotowa była płakać z gniewu. — Czy otrzymałeś choć kilka listów? Jestem pewna, że doszły, choć nie odpisywałeś nigdy.

— Owszem, kilka dostałem, widocznie z wyjątkiem ostatniego, w którym donosiłaś o śmierci twego męża. Muszę się przyznać, że prawie wszystkie przeczytałem głośno Winapie. Ze względów pedagogicznych, że tak powiem. Niech wie, jakie są jej białe siostry. I przypuszczam, że cośnecóż skorzystała na tem. Jak myślisz?

Nie zwracając uwagi na jego szorstkość, ciągnęła dalej.

— A więc w ostatnim liście, którego nie dostałeś, pisałam o śmierci męża mego, pułkownika Sayther... Było

to rok temu. Pisałam również, że jeśli nie przyjedziesz do mnie na Południe, to ja przyjadę tu do ciebie. I — stosownie do obietnicy — jestem.

— Nie wiem o żadnych obietnicach.

— W dawnych listach?...

— Tak, przyrzekałaś rzeczywiście. Ponieważ jednak ja o nic nie prosiłem i nie odpisywałem nawet, było to więc niepotwierdzone i, co za tem idzie, mało prawdopodobne. Pamiętam jednak obietnice inne, których zapewne nie zapomniałaś również. Było to dawno — odrzucił nagle siekierę i podniósł na nią oczy — było to bardzo dawno, ale pamiętam żywo dzień, godzinę, każdy szczegół. Byliśmy w różanym ogrodzie — ty i ja, w różanym ogrodzie twojej matki. Wszystko budziło się do życia, kwitło, śpiewało i słodycz wiosny była w naszej krwi. Objąłem cię wpeł po raz pierwszy i pocałowałem w usta. Pamiętasz?

— Dość o tem, Dave, dosyć. Pamiętam wszystko. Jakże często płakałam, jak bardzo cierpiałam potem...

— Przyrzekałaś mi wtedy, ach i tysiąc jeszcze razy w słodkie dni tamtej wiosny. Każde spojrzenie, każde dotknięcie ręki, każde słowo, co padło z warg twoich — było obietnicą. A potem — jakże mam powiedzieć — przyszedł obcy mężczyzna. Był stary, dość stary, aby móc być twoim ojcem. Nie piękny, ale jak świat powiada, wielce szanowny. Nie czynił nic złego, żył zgodnie z literą prawa, był ogólnie poważany. Pozatem — i w tem sęk właśnie — posiadał kilka dość dużych kopalń, niejedną milę ziemi, prowadził wielkie interesa, obcinał kupy. On to...

— Były też inne powody, — przerwała — opowiem ci. Namowy, żądania rodziny, sprawy pieniężne matki, jej niepokój. Zrozum moje straszne położenie. Nie mogłam nic poradzić. Poświęcono mnie, albo nie, raczej ja sama poświęciłam się w ofierze. Myśl zresztą, jak chcesz. Ależ, mój Boże, Dave, odeszłam, to prawda, ale czy pamiętałeś kiedy, ile mnie to kosztowało. Nigdy nie oddałeś mi sprawiedliwości!

— Pomimo woli? Z musu? O, nie — niema nic takiego na świecie, co by mogło zmusić do pójścia w objęcia obcego mężczyzny!

— Żyłam tylko tobą... — szepnęła usprawiedliwiająco.

— Nie potrafiłem nigdy zastosować twoich pojęć o miłości. I nie potrafię dotąd. Nic nie rozumiem.

— Ależ teraz, teraz!

— Teraz? Teraz pomówmy o tym, któregoś uznała za godnego twej ręki: cóż to był za człowiek? Co cię w nim pociągnęło? Jakież to zalety posiadał? Prawda, miał talizman, wszechmocny, złoty talizman. Miał „szczęście“. Zarabiał sto za sto. Umiał w przedziwny sposób przelewać cudze pieniądze do swojej kieszeni. Jednego, drugiego, trzeciego człeka. A prawo patrzyło z uśmiechem. Chrześcijańska etyka przyzwalała w milczeniu. Społeczeństwo darzyło szacunkiem. Ale według ciebie, Karen, według mnie, według nas, tamtych, z różanego ogrodu — czem on był?

— Pamiętaj, że już umarł.

— To nie zmienia postaci rzeczy. Czem on był? pytam. Wielkiem, grubym cielskiem, głuchem na dźwięk,

ślepem na piękno, nieżywym dla ducha, ospaleni od lenistwa, z obwisłymi policzkami i ogromnym brzuchem, na świadectwo obżartości.

— Ale już umarł. My zaś jesteśmy teraz — teraz — dzisiaj! Słyszysz? Jak powiadasz, byłam niewierna, złamalam słowo. Tak. Ale czyż ty również nie powinienesz zawołać: „zgrzeszyłem!“ Jeśli ja nie dotrzymałam obietnicy — czyś ty jej dochował? Twoja miłość z różanego ogrodu żyła zawsze — powiadasz? Gdzież jest ona dzisiaj?

— Dziś? Tutaj! — przerwał gwałtownie, uderzając pięścią po szerokiej piersi. — Była tu zawsze.

— I miłość twoja była wielka — mówiła dalej — słyszałam to w różanym ogrodzie. A teraz jest niedość piękna, niedość mocna, żeby przebaczyć mnie, płaczącej u twoich nóg...

Mężczyzna zadrzał. Chwiejnie rozwarły się wargi pełne rwących się dźwięków. Zmusiła go, żeby otworzył serce, żeby mówił szczerze o tem, co krył przed samym sobą. O, jakąż rozkoszą było patrzeć na nią, stojącą w płomieniach miłości, co budziła dawno pogrzebane, gorące młode życie. Odwrócił głowę, żeby ukryć tajemnicę, ale ona zaszła go z boku i zajrzała w oczy.

— Spójrz na mnie, Dave! Spójrz na mnie! Jestem ta sama, wciąż jeszcze ta sama. I ty również, gdybyś tylko chciał... Nie zmieniliśmy się wcale.

Ręka jej leżała na jego ramieniu, on zaś stał z mgłą w oczach, sztywny i niewidzący. Nagle ostry trzask zapalki przywołał go do przytomności.

Winapie, niemy świadek tego, co się działo, zapaliła

właśnie leniwy knot olejnej lampki. Postać jej zarysowała się wypukle na czarnem tle izby, a płomień rozpalil brązową jej krasę w iście królewskie złoto.

— Widzisz sama — niepodobieństwo... — jęknął, odsuwając zlekka jasnowłosą kobietę. To niemożliwe, — powtórzył, — tak, niemożliwe...

— Dave, nie jestem dziewczynką i nie mam złudzeń, — przemówiła łagodnie, choć nie ośmieliła się już podejść blisko. — Czuję, jak czuje kobieta dojrzała. Mężczyźni są zawsze mężczyznami. Zresztą... zwyczaj krajowy. Nie jestem bynajmniej zdziwiona, spodziewałam się tego, ależ... jest to przecież tylko takie tutejsze, krajowe małżeństwo, nie rzeczywiste?

— Takie pytania nie istnieją na Alasce, — przeciwstawiał się słabo.

— Wiem, ale...

— Więc dobrze, jest to tylko małżeństwo, jak powiadasz, tutejsze. Nic więcej.

— Dzieci niema?

— Nie.

— I nie...

— Nie, nie, nic już — ale to niemożliwe.

— Nieprawda. — Znowu podeszła blisko, lekko, pieszczotliwie dotykając dłonią jego, spalonego słońcem, karku. — Zbyt dobrze znam zwyczaje tego kraju. Mężczyźni postępują tak codziennie. Nie mają przecież zamiaru zostawać tu na całe życie, ani zamykać sobie świata. Dają więc kupony na Pacific Company, zostawiają zapas żywności na cały rok i dziewczyna jest zupełnie zadowolona. Oto wszystko.

Wzruszyła ramionami.

— Tak samo z tą tu dziewczyną. Damy jej kupon na Company, nietylko na rok, ale na całe życie. Czemu była, kiedyś ją znalazł? Dzikiem, mięsożernem stworzeniem; ryba w lecie, jelen w zimie, w święto ucza, na codzień głód. Przyszedłeś — stała się szczęśliwa; odejdziesz, i niewątpliwie będzie jej lepiej, niż gdybyś nie przychodził wcale, bo zapewnisz jej względny komfort życia.

— Nie, nie, — protestował. — Tak nie jest...

— Ależ, Dave, powinieneś to zrozumieć. Ona nie jest twojej rasy. Jesteście sobie obcy. Ona jest tuziemka, wybujała z tej gleby, mocno do niej przyrosła i oderwać jej stąd niesposób. Urodzona w dzikości — dziko umrze. Lecz my — ty i ja — panująca, wysoka rasa, sól ziemi, przedstawiciele władców, jesteśmy dla siebie stworzeni. Najwyższem prawem jest głos rasy — a on w nas woła. Rozum i serce potwierdzają. Prawdziwy twój instykt chce tego. Nie możesz zaprzeczyć. Nie możesz umknąć woli całych pokoleń. Za tobą przez stulecia, przez tysiąc stuleci stoi ród, i łańcuch jego nie może się przerwać. To niepodobieństwo. Instykt silniejszy jest, niż woła. Rasa mocniejsza od jednostki. Jesteśmy młodzi, a życie jest dobre. Pójdź ze mną!

Winapie, wychodząca z chaty, żeby nakarmić psy, zwróciła znów jego uwagę. Pokiwał głową i słabo począł się cofać. Ale dłoń jasnowłosej gładziła jego szyję, a lica przywarły do twarzy. Minione życie wstało w nim nagle i poczęło dławić. Daremna walka z bezlitosnym żywiołem, ciężkie lata głodu i chłodu, twarde zdobycze,

pierwotne istnienie, bolesna marność zwierzęcego życia. Wystarczyć to nie mogło. I oto — pokusa nadeszła. Poszept słonecznych krajów, pieśni, światła i radości, głos dawnych czasów, zew do powrotu. Bezwładnego pochłonięła wizja. Przymglone twarze zadrgały mu przed oczyma, urywki zbladłych już chwil, wspomnienia zmierzchłych godzin, smugi dźwięków, wysokie, srebrzyste dzwonki śmiechu...

— Chodź, Dave, chodź!... Złota starczy na dwoje. Droga jest tak słodka!... — obejrzała się po ubogiej izbie. — Złota starczy. Świat jest u naszych stóp i radość całej ziemi jest dla nas. Chodź, chodź!

Była w jego ramionach cała drżąca. Objął ją mocno, wstał... Gdy nagle szczekanie głodnych psów i ostre krzyki Winapie uderzyły słuch jego poprzez drewniane ściany.

Wtedy inny obraz wyrósł niespodzianie przed jego oczyma.

Walka w kniei — olbrzymi, bury, rozjuszony niedźwiedź; wycie psów i wojownicze okrzyki Winapie. On sam napółżywy, prawie bez oddechu, z sercem rozsadzającym pierś. O kilka kroków wiją się w kurczach przedśmiertnych psy z rozprutymi brzuchami, z poszarpanem cielskiem. Nieskalaną biel śniegu plami krew człowieka, mieszając się z krwią zwierząt. Niedźwiedź wściekły, niewstrzymany, sięgający drapieżnie po jego życie, i Winapie... Winapie w nagłym szaleństwie odwagi, z rozwianym włosom, gorejącymi oczyma, w furji walki bijąca w niedźwiedzia ogromnym myśliwskim nożem raz po raz, raz po raz...

Pot wystąpił na czoło Dáveeda. Odepchnął przytyloną kobietę i cofnął się krok jeden ku ścianie. Ona, widząc, że chwila nadeszła i stało się, a nie zgadując, co mianowicie, poczuła jednak, że zdobycz wymykać się poczyna z jej rąk.

— Dave! Dave! — zawołała. — Nie chcę cię tu zostawić! Nie chcę! Jeśli nie pójdziesz ze mną — zostaniemy tu razem. Będę twoją żoną. Będę gotowała ci strawę, karmiła psy, torowała drogę, prowadziła łódkę. Wszystko to umiem. Wierz mi. Jestem silna.

Wiedział o tem dobrze, patrząc na nią i odpychając jej ramiona. Ale twarz jego stała się surowa i szara, a ciepłe światło zgasło w źrenicach.

— Zapłacę zaraz Pierrowi i wioślarzom i niech sobie jadą. Ja zostanę. Ślubnie, czy nieślubnie, prawnie, czy nieprawnie. Chcę być z tobą dzisiaj, zawsze!... Dave! Dave! Posłuchaj mnie!... Mówiłeś, że postąpiłam źle kiedyś. Zgadzam się. Pozwól-że mi teraz naprawić tamto, odkupić. Jeżeli dawniej źle sądziłam miłość, pozwól mi okazać, jaką jestem dzisiaj...

Zsunęła się na podłogę i ramionami oplótła jego kolana, łkając...

— Ty musisz mnie odczuć. Musisz odczuć. Pomyśl tylko: takie długie lata, lata czekania, męki! Nie wiesz nawet..

Pochylił się, by ją podnieść.

— Posłuchaj — rozkazał, otwierając drzwi i wyprowadzając ją delikatnie z chaty. — Nie może to być. Nie tylko nas to dotyczy. Powinnaś odjechać. Życzę ci bezpiecznej podróży. Ciężka przeprawa czeka was na Sixty

Mile, ale masz najlepszych w świecie wioślarzy, nie ci więc nie grozi. Nie pożegnasz się ze mną?

Chociaż zdążyła się już opanować — ale raz jeszcze beznadziejnie spojrzała w jego oczy.

— Gdyby — gdyby — gdyby jednak Winapie — urwała i stanęła.

Ale on schwytał już niedomówioną myśl.

— Tak — odrzekł.

Potem, przerażony, dodał:

— Niema żadnego prawdopodobieństwa. Nie powinno być nawet pomyślane.

— Pocałuj — szepnęła, rozświetlając twarz. Poczem odwróciła się i odeszła.

— Zwijaj obóz, Pierre! — zawołała na wioślarza, który sam jeden czuwał, czekając jej powrotu. — Jędziemy natychmiast.

Bystrem okiem dojrzał przy świetle ogniska skurcz bólu na jej twarzy, ale przyjął rozkaz tak, jakby to była rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem.

— Oui, madame — zgodził się poprostu. — Dokąd? Dawson?

— Nie — odrzekła. — W górę, prosto, Dyea.

Wtedy Pierre skoczył ku śpiącym „voyageurs“, spychał ich z posłania, a jego żywy, jak pobudka, głos, brzmiał po całym obozie. W mgnieniu oka zwinięto maleńki namiot, pozbierano naczynia kuchenne, powiązano pościel, i ludzie, uginając się pod tłumokami, ponieśli je do łódki.

Mrs. Sayther czekała na brzegu, zanim załadują bagaże i uścielą siedzenie.

— Pojedziemy do czołowej części wyspy — tłumaczył Pierre, zwijając linę. — Prześliźniemy się przez zatokę, gdzie prąd najszabszy. Tak będzie najlepiej.

Szelest kroków po suchej, zeszlórocznej trawie musnął nagle wyostrzony słuch Pierre'a. Indyjska dziewczyna, otoczona niespokojnym kołem wilczarów, zbliżała się ku nim. Mrs. Sayther zauważyła odrazu, że twarz dziewczyny, niezmiennie obojętna podczas rozmowy w chacie, pałała teraz żywym ogniem, ogniem gniewu — może zemsty.

— Co zrobiłaś mojemu mężczyźnie? — rzuciła ostro. — Leży na ławie i źle patrzy wokół. Ja mówię: „Co takiego, Dave. Tyś chory?“ Ale on nie odpowiada. A potem mówi: „Winapie, dobra dziewczyno — odejdz!“ Tak nigdy nie bywało. Coś zrobiła memu mężczyźnie? Ja myślę, ty jesteś zła kobieta.

Karen patrzyła bez słowa na dziką kobietę, dzielącą życie kochanego człowieka, podczas, gdy ona odjeżdżała samotnie w głęboką ciemność nocy.

— Ja myślę, że jesteś złą kobietą — powtórzyła Winapie powoli i starannie, jak się wymawia trudne słowa obcego języka. — Ja myślę — ty lepiej odjeżdżaj i nie wracaj więcej. Co? A ty, jak myślisz? Ja mam jednego mężczyznę. Ja jestem Indjanka. Ty południowa kobieta. I taka piękna. Ty znajdziesz dużo mężczyzn. Oczy masz, jak niebo, a skórę białą, taką miękka!...

Podniosła smukły, brązowy palec i dotknęła lekko gładkich policzków białej kobiety. Karen Seyther nie

cofnęła się i nawet nie drgnęła. Pierre z wahaniem postąpił krok naprzód, ale zatrzymała go skinieniem, choć w głębi serca była mu wdzięczna.

— Wszystko już dobrze, Pierre — rzekła. — Proszę cię, odejdz.

Cofnął się z uszanowaniem na odległość głosu, potem zaś przystanął, pomrukując zcicha i mierząc w myśli odległość na skoki.

— Taka biała, taka gładka, jak dziecko...

Winapie dotknęła drugiego policzka i cofnęła rękę.

— Wkrótce przyjdą moskity — ciągnęła. — Skóra będzie cała w plamach. Takie spuchnięcie, takie wielkie, dużo, dużo ran. Mnóstwo moskitów, mnóstwo ran. Ja myślę — ty jedź lepiej, zanim przyjdą moskity. Ta droga — wskazała z biegiem rzeki — do St. Michael; tamta — wskazała przeciw prądowi — do Dyea. Lepiej jedź do Dyea. Bądź zdrowa.

Ale to, co uczyniła teraz Mrs. Sayther, zdziwiło Pierre'a niemal. Zarzuciła bowiem ramiona na szyję indyjskiej dziewczyny, ucałowała ją i wybuchnęła płaczem.

— Bądź dobra dla niego — mówiła przez łzy — bądź dobra...

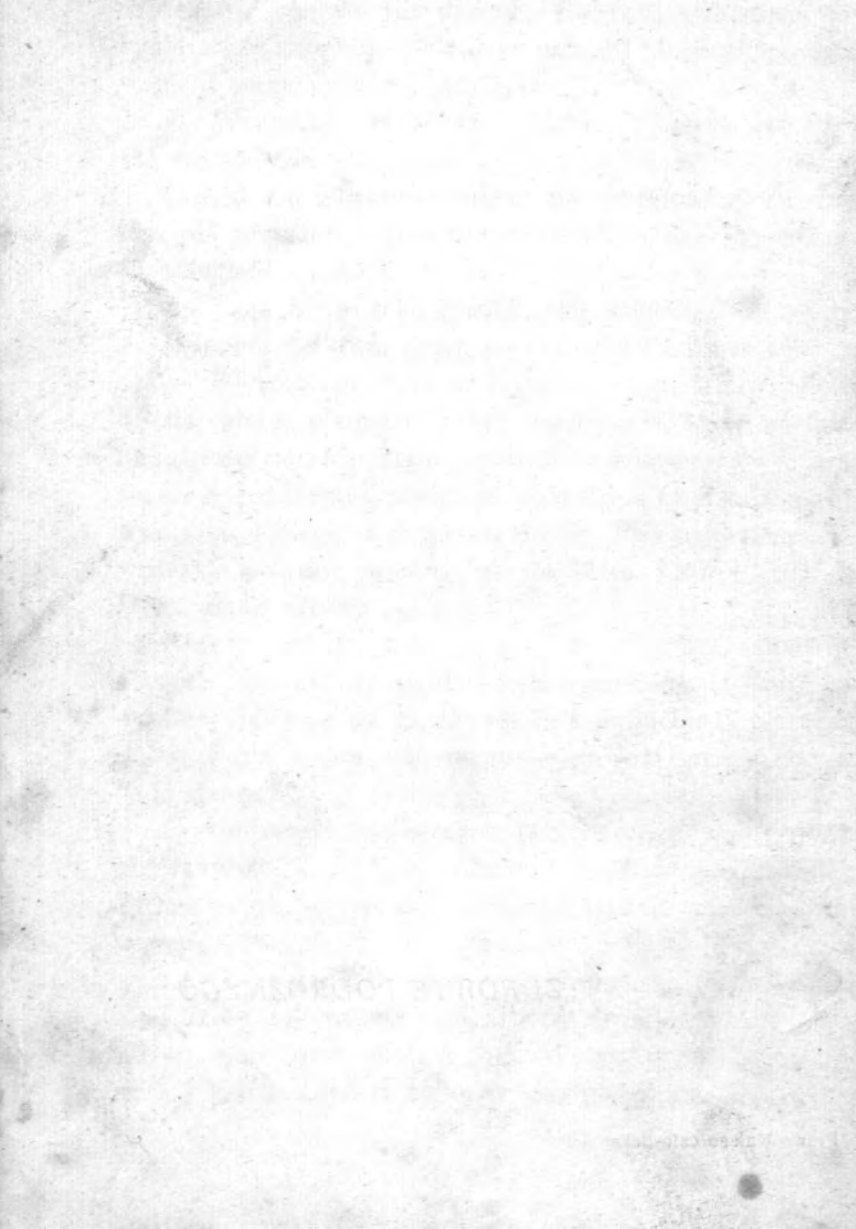
Potem zeszła na brzeg z pochyloną głową, rzuciła, obejrzawszy się, „bądź zdrowa“ i skoczyła do łódki. Pierre za nią. Odepchnął, postawił ster na miejscu i dał sygnał.

Le Goire zanucił jakąś starą francuską piosenkę.

Ludzie, jak widma, w mglistem świetle gwiazd schylił się nisko pod napiętą liną. Wiosła przecięły czarny nurt i łódka spłynęła cicho w noc głęboką.



„ZDROWIE PODRÓŻNEGO“



— Dolewaj-no jeszcze!

— Ależ, Kid, czy nie będzie za mocne? Dość już, że zmieszaliśmy whisky ze spirytusem, jeśli dodamy jeszcze pieprzówki...

— Dolewaj, powiadam ci. Któż przyrządza poncz nareszcie, ja, czy ty? — uśmiechnął się dobrodusznie Malemute Kid z za kłębów wonnej pary.

— Zczasem, mój synu, kiedy przeżyjesz w tym kraju tyle lat, co ja, żywiąc się króliczemi łapkami i suszoną łososiną, zrozumiesz dobrze, że Boże Narodzenie bez ponczu, to tak, jak pokład bez złotej żyły.

— Dobrze mówi — przyklasnął Jim Belden Gruby, który specjalnie przybył z góry rzeki, ze swojej działki na Mary May, żeby spędzić święta z towarzyszami. Wiedzano o nim powszechnie, że żywił się całe dwa miesiące tylko jeleniem mięsem.

— A pamiętasz, jaki „hooch“¹ przyrządzałeś nam na Tananie?

¹ Rodzaj ponczu.

— Pamiętam, a jakże! Ej, chłopcy, radziłyście byli oglądać taką uciechę! Całe plemię piło do upadłego, a wszystko dzięki porządnej fermentacji cukru i kwaśnego ciasta. Was jeszcze wtedy nie było — zwrócił się Malemute Kid do Stanley-Princ'a, młodego górnika, przybyłego dopiero przed dwoma laty. — W całej okolicy białej kobiety ani na lekarstwo, a tu Masonowi zachciało się ożenku. Ojciec Ruthy był wodzem Tananów i sprzeciwił się temu wraz z całym plemieniem. Cóż? Poświęciłem ostatni funt cukru. Moje dzieło w tym kierunku było najbardziej mistrzowskie. Warto było widzieć polowanie z biegiem rzeki i naprzelaj po kraju.

— A cóż ona? — spytał z widocznym zaciekawieniem Francuz z Kanady, Louis Savoy. Słyszał już cośniecoś o tem szaleństwie jeszcze w Forty-Mile.

Wtedy Malemute Kid, urodzony gawędziarz, rozpoczął przedziwną historję Lochinvaru Północy. I niejednen bujny awanturnik stepowy poczuł, jak napinają się struny jego duszy i grają tęsknotą ku słonecznym niwom Południa, gdzie życie obiecuje coś więcej ponad daremną walkę z mrozem i śmiercią.

— Dobrnęliśmy do Yukonu właśnie wtedy, kiedy ruszyły pierwsze lody — kończył Malemute Kid. — Indianie byli tuż za nami, o kwadrans drogi. Ale to nas zbawiło, bo właśnie przez ten czas zdążyły ruszyć drugie lody i odcięły ich. Kiedy zaś doszli do Nuklukyetu, cały posterunek gotów był na ich spotkanie. Co zaś do wesela, to pytajcie ojca Roubeau, on to bowiem był mistrzem ceremonji.

Jezuita wyjął z ust fajeczkę, ale zaledwie zdążył wy-

razić zadowolenie patryjarchalnym uśmiechem, kiedy protestanci i katolicy dali rześiste brawo.

— To ci historja! — krzyknął Louis Savoy, poruszony widocznie romantyczną stroną przygody. — La petite! Patrzenie ją! Zuch Mason! Ho! ho!

Kiedy pierwsze szklanki ponczu obeszły koło biesiadników, Bettles, zwany „Niestrudzonym“, zerwał się i rozpoczął swą ulubioną piosenkę pijacką:

„I księżyk nasz wesoly,
I belfr z niedzielnej szkoły,
(Czyż wolno prawdę rzec?)
Ach piją bez pamięci,
Bo rajski owoc nęci,
Nad szklanką słodki wiec!“

A podchmielony chór pochwycił wesoło:

Nad szklanką słodki wiec!“

Ognisty nawar Kida robił swoje. Tych ludzi, nieugiętych na szlaku ni na postojach, poniosła, gdzie chciała, huczna, kipiąca, wezbrana po brzegi wesołość. Wychodzący z tuzina krajów, wznosili toasty za wszystkich i każdego. Anglik Prince propagował „Wuja Sama“, zdobywcę Nowego Świata. Yankee Bettles śpiewał „Boże strzeż królową“, a Savoy wraz z odstępca Niemcem, Meyersem stuknęli się za pomyślność Alzacji i Lotaryngji.

Wtedy wstał Malemute Kid z kielichem w rękę, popatrzył na pergaminową szybę okna, zlodowaciałą na grubość trzech cali i zawołał:

— A teraz, bracia, zdrowie Podróżnego, co noc tę spędza na szlaku! Niechaj starczy mu żywności, niech psy jego nie ustaną w drodze, niechaj zapalki nie odmówią mu ognia...

Krak! Krak! posłyszeli znany trzask — bicza, szczekanie domowych psów i skrzyp sani, zatrzymujących się u drzwi chaty. Rozmowa ucichła. Czekano.

— Jakiś stary wyga, bo troszczy się najpierw o psy, potem o siebie — mruknął Malemute Kid do Prince'a, kiedy rozbrzmiało napółwilcze wycie, poszczekiwanie i kłapanie kłów. Wprawne ucho poznało odrazu, że przybyły karmi swoje psy i odgania cudze. Potem nastąpiło oczekiwane stukanie we drzwi, ostre a poufale — i nieznajomy wszedł do izby.

Oślepiiony światłem stanął na chwilę u wejścia, co dało zebrany możliwość przyjrzenia mu się dokładnie. Była to wspaniała postać męska, przepysznie malownicza w podbiegunowym stroju z wełny i futer. Sięgając sześciu stóp wzrostu, rozrosły był w barach i wyniosły w piersi. Gładko ogoloną twarz rumienił mróz, brwi i rzęsy pokrył szron. Szyja i uszy były osłonięte, a głowa okryta wysoką czapą wilczą. Stał, jak prawdziwy Król Zimy, przybyły z głębi nocy. Za ozdobnym pasem, opinającym futrzaną kurtkę, miał zatknięty nóż myśliwski i dwa rewolwery Colt'a, w ręku trzymał nieodłączny bat na psy i dobrą strzelbę najnowszego systemu. Po paru już krokach widać było sprężystość ruchów, obciążonych jednak w tej chwili ogromnem zmęczeniem.

Niezręczna cisza zapanowała przez chwilę, ale swobodne: „Jak się macie, towarzysze!“, rzucone uprzejmie przez przybyłego, z łatwością przywróciło dawny nastrój i za chwilę już Malemute Kid ścisnął serdecznie dłoń jego. Nie spotykali się dotąd nigdy, ale obaj słyszeli o sobie i radzi byli poznać się wzajemnie. Zanim przybyły zdążył wytłumaczyć niespodziewany swój najazd, zapoznano go ze wszystkimi i napojono ponczem.

— Jak dawno przejechały tędy kryte sanie z trzema ludźmi, zaprzężone w osiem psów? — zagadnął.

— Akurat dwa dni temu. Wy za nimi?

— Tak. Mój własny zaprząg. Szelmy sprzątnęły mi go z przed nosa. Dopędziłem ich już o dwa dni, złapię na następnym postoju.

— Myślicie, że to będzie łatwo? — zapytał Belden, prosto dla podtrzymania rozmowy, bo Malemute Kid zakrzętnął się koło kawy i zajął się smaženiem mięsa ze słoniną.

Przybyły znacząco dotknął broni.

— Dawno z Dawson?

— O dwunastej.

— Zeszłej nocy? — chociaż rozumiało się to samo przez się.

— Dziś w południe.

Poszept zdumienia rozległ się wokoło stołu. Podziwiano. Była właśnie północ, a siedemdziesiąt pięć mil surowej drogi wzdłuż rzeki, w przeciągu dwunastu tylko godzin — to sztuka nielada.

Rozmowa przeszła wkrótce na tory ogólne, powracając do wspomnień przeszłości. Młody przybysz jadał

z apetytem, a Malemute Kid studjował tymczasem uważnie jego twarz. Po chwili zdecydował stanowczo, że była piękna, uczciwa, otwarta i bardzo pociągająca. Rysy jeszcze młodzieńcze, były już po męsku kute rylcem surowej troski. Niebieskie oczy, jasne w rozmowie, spokojne w milczeniu, zapowiadały ostry błysk stali, kiedy czekała walka nieubłagana ze złem. Mocno zarysowane szczęki i kwadratowy podbródek wskazywały się charakteru i nieugiętą wolę.

A jednak na tej władnej, lwiej twarzy, przeblyskiwał niekiedy miękki, łagodny cień kobiecej niemal uczuciowości.

— Tak, takeśmy się to zeszli z moją babą — kończył Belden opowiadanie o żeniactwie. — Otóż i przyszliśmy, ojczy, powiedziała do starego moja żona. A, niechże was licho! zamruczał ojciec i natychmiast potem kazał mi zaorać spory kawał ziemi od południa. A ty, Sali, zabieraj się do sprzątanania, rozkazał. Byłem okrutnie rad, a potem stary zawołał mnie: Ej, Jim! Przybiegłem cały urobiony w ziemi i nareszcie wszystko skończyło się na hucznym całowaniu...

• — Pewnie dzieciaki czekają na was w Stanach? — zagadnął przybysz.

— E, gdzie tam; Sali umarła, zanim które zdołało przybyć. Dlatego tu jestem.

Belden w roztargnieniu rozpałać począł gasnącą fajeczkę, i kiedy zadymiała na nowo, westchnął:

— A jakże wy, towarzyszu — żonaci?

Tamtén zamiast odpowiedzi wyjął zegarek, zsunął go z rzemyka, służącego za dewizkę i, otworzywszy

wieczko, podał pytającemu. Belden podkręcił lampkę, uważnie obejrzał wnętrze zegarka i ze słowami zachwytu oddał Louis Savoy.

— Tam do licha! — rozpromienił się tamten i postąpił zegarek ku Prince'owi. Można było zauważyć, jak dłonie Prince'a zadrżały, a oczy zamgląda rzewność. I tak przechodziła z jednej do drugiej ciemnej, zgrubiałej dłoni pastelowa minjatura prześlizycznej, słodkiej kobiety z dzieckiem u piersi. Ci, co jeszcze nie widzieli cudu, wychylali się ciekawie, inni siedzieli milcząco i zamyśleni. Ludzie ci bez drgnienia spotykali widmo głodu, cierpienia, nagłej śmierci na lądzie i wodzie, ale martwy wizerunek nieznannej kobiety z dzieciątkiem — zamieniał ich samych w kobiety i dzieci.

— Nie widziałem jeszcze najmłodszego, wiem tylko, że chłopak ma już dwa lata — objaśnił przybyły, kiedy zegarek wrócił doń po obejściu całego koła. Przez krótką chwilę patrzył na fotografię, potem zamknął wieczko i odwrócił się szybko, niedość szybko jednak, by ukryć hamowane na rzesach łzy.

Malemute Kid wskazał mu ławę i zaproponował odpoczynek.

— Obudźcie mnie o czwartej, a ostro. Ani chwili później — były jego ostatnie słowa. Za chwilę oddychał już głębokim, znużonym snem.

— Na Jowisza, śmiały chłop! — zawołał Prince. — Trzy godziny wytchnienia po siedemdziesięciu pięciu milach! Któż to jest, Kid?

— Jack Westondale. Mieszka tu już od trzech lat, pracuje, jak koń, ale pomimo to ma same straty i nie-

powodzenia. Nie znałem go dotąd, ale opowiadał mi o nim Charley z Sitki.

— Ciężko to, kiedy mężczyzna, mający taką piękną, słodką żonę, rzucony jest w młodości do tego piekielnego kraju, gdzie każdy rok podwójnie wysysa człowieka.

— A najgorzej, że los poprostu go prześladuje, i nie nie pomaga zawziętość ani upór. Dwa razy już ryzykował i dwa razy stracił.

Rozmowę przerwał nowy wybuch wesołości i po chwili przestano interesować się podróżnym. Wkrótce też ciężkie lata głodu i troski zbladły i odeszły w dal pod naporem bujnej fali porywczej wesołości. Tylko Malemute Kid nie mógł otrząsnąć się z nieuchwytnego wzruszenia i trwożnie spoglądał na zegarek. Nagle wstał, włożył rękawicę, futrzaną czapę i, wyszedłszy z izby, zajrzał do spiżarni. Nie mógł też doczekać określonej godziny i obudził gościa o piętnaście minut za wcześnie. Młody olbrzym zeszytywniał ze znużenia i dopiero mocne szturchańce i rozcieranie postawiły go na nogi. Wywłókł się z wysiłkiem z izby, ale przed chatą znalazł już psy zaprzęzione i wszystko gotowe do podróży. Cała kompanja życzyła mu szczęśliwej drogi, zaś ojciec Roubeau pobłogosławił go naprędce, poczem wszyscy natychmiast wrócili do izby, gdyż 70-cio stopniowy mróz palił tego odsłonięte uszy i ręce. Tylko Malemute Kid pozostał i, ściskając serdecznie dłoń podróżnego, dawał dobre rady.

— Znajdziecie w saniach sto funtów łososiowej ikry, — mówił — psy pójdą na tem tak długo, jak na stu pięćdziesięciu funtach suszonej ryby; a w Pely nie można kupić żywności, jak na to zapewne liczyć.

Podróżny drgnął, oczy mu błysnęły, ale nie przerwał ani słówkiem.

— Nie można dostać ani łuta żywności aż do Five Fingers, a to stąd dobre dwieście mil. Radzę wam poczekać w Thirty Mile River aż ruszą lody, a wtedy zabierzecie się z pewnością na wielki statek „La Barge“.

— Skąd wiecie? Pogłoski już mnie wyprzedziły?

— Nic nie wiem. Więcej wam powiem: nie chcę nie wiedzieć. Ale zaprzęg, za którym gonicie, nie jest wasz. Charley z Sitki sprzedał mi go zeszłej wiosny. Mówił mi o was dobrze, a ja mu wierzę. Poza to, przyjrzałem się waszej twarzy i polubiłem ją. Widziałem też, do licha, wszystko i tę żonę waszą i... — tu Kid zrzucił szybko rękawicę i wyciągnął woreczek złota.

— Nie, nie, nie potrzebuję tego...

Łzy zamarły na jego policzkach, kiedy ścisnął konwulsyjnie dłoń Kida.

— Więc nie szczędźcie psów, odprzegajcie je natychmiast, jak ustaną i kupujcie świeże. Nawet dziesięć dolarów za funt nie będzie zbyt drogo. Można je dostać w Five Fingers, w Little Salmon i Hootalinqua. I uważajcie, żeby nogi były suche — dodał. — Po każdym dwudziestu pięciu milach — odpocząć, jeśli mróz się zwiększy — częściej rozpalać ogień i zmieniać skarpetki.

— — — — —
Upłynęło zaledwie piętnaście minut, kiedy dźwięk dzwonek oznajmił nowych przybyszy. Drzwi otworzyły się szybko i wszedł oficer północno-wschodniej straży konnej, a za nim dwóch metysów-poganiaczy. Podobnie,

jak Westondale, byli wszyscy uzbrojeni i widocznie straszliwie zmęczeni.

Metysi, urodzeni na szlaku, dobrze znosili podróż, ale młody oficer był porządnie zmachany. Niemniej jednak wola, właściwa jego rasie, utrzymywała go dotychczas na nogach i zdawało się, że utrzyma, dopóki nie padnie trupem.

— Kiedy odjechał Westondale? — zapytał. — Zatrzymywał się tu?

To ostatnie, było już zbyt późno, bo świeże ślady zdradzały wszystko zbyt wyraźnie.

Malemute Kid schwytał spojrzenie Beldena, ten zaś, czując, jaki wiatr wieje, odpowiedział wymijająco:

— Tak, sporo już czasu przeszło...

— No, no, mówcie prosto — zachęcał oficer.

— Coś wam bardzo do niego pilno? Cóż? Był trochę za burzliwy w Dawson?

— Właśnie. Ograbił Harry Mac Farland'a na czterdzieści tysięcy, zamienił je w P. C. Company na czek do Seattle i ktoś zabroni mu odebrać tam pieniądze, jeżeli nie zdążymy go pochwycić! Kiedy stąd wyjechał?

Wzburzenie, nagle wybuchło na twarzach, pohamowano natychmiast na niemy znak Kida. I znów młodego oficera otaczały już tylko drewniane, milczące oblicza.

Wtedy ten, zwracając się wprost do Princ'a, powtórzył pytanie. Ale Anglik, choć życzliwie patrzył w poważną, otwartą twarz młodego oficera, bąknął coś tylko niezrozumiale o trudnościach jazdy po tak złej drodze. Wtedy oficer zwrócił się do ojca Roubeau, który nie umiał kłamać.

— Wyjechał przed piętnastoma minutami — odparł ksiądz, — ale on i psy odpoczęli cztery godziny.

— Piętnaście minut tylko! I odjechał wypoczęty! Mój Boże!

Biedny chłopak, chwiejąc się, zawrócił ku drzwiom, napółżywy ze zmęczenia i gniewu, mruczając coś o drodze z Dawson, przebytej w dziesięć godzin i o zmęczeniu psów.

Malemute Kid wlał w niego szklanekę ponczu, poczem oficer wstał i zawołał na poganiaczy. Ci jednak zaprotestowali, ciepło bowiem i nadzieja odpoczynku zbyt były ponętne. Kid rozumiał napółfrancuski dialekt i trwożnie przysłuchiwał się rozmowie. Metysi przysięgali, że psy nie mają już sił, że Sivash'a i Babetta trzeba będzie zastrzelić na pierwszej mili, że reszta również jest do niczego i że wogóle najlepiej tu odpocząć.

— Sprzedajcie mi pięć psów — zwrócił się oficer do Malemute Kida. Ale Kid potrząsnął głową.

— Wystawię wam czek do kapitana Constantin'a na pięć tysięcy dolarów. Oto moje papiery — jestem upoważniony do wszelkich wydatków według upodobania..

Znowu milcząca odmowa.

— A więc, zarekwiruję je imieniem Królowej!

Uśmiechając się niedowierzająco, Kid popatrzył na swą doskonale utrzymaną broń, wiszącą na ścianie, Anglik zaś, widząc swą niemoc, zawrócił ku drzwiom. Ale poganiacze nie przestali protestować. Wtedy oficer rzucił się na nich wściekle, wymyślając od niedołęgów. Twarz starszego metysa zapalała gniewem, zawrócił

i oświadczył mu ostro, że gotów jest zdeptać własne nogi, byle tylko mieć przyjemność osadzenia go gdzie w śniegu.

Młody oficer natężył całą wolę i skierował się ku drzwiom, udając rzeźkość, której nie posiadał. Ale zebrani widzieli i ocenili szlachetny jego wysiłek. Nie mógł też ukryć bolesnego skurczu, który wykrzywił mu twarz. Psy, prawie obumarłe, zwały się w śnieg i było wprost niepodobieństwem podnieść je na nogi. Biedne zwierzęta wyły pod uderzeniami bata, poganiacze zaś, rozwścieczeni, byli okrutni. Dopiero kiedy przewodnikowi Babetowi odcięto postronki — innych udało się ruszyć z miejsca. Domowi zostali sami.

— Łajdak! Kłamca! Do licha, co za podłość! Złodziej! Gorszy od Indjanina!

Widać było, że bardzo są gniewni, przedewszystkiem za oszustwo, następnie za bezkarne słamanie etyki Północy, gdzie uczciwość uważana jest za pierwszą cnotę mężczyzny.

— I myśmy mu pomogli, wiedząc już, co to za jeden!

Wszystkie oczy zwróciły się na Malemute Kid'a, który wstał, wyszedł ze swego kąta, gdzie oporządzał biednego Babet'a i w milczeniu napelnił szklanki dla ostatniej kolejki ponczu.

— Noc jest ciemna, chłopcy, gorzka i ciemna — zaczął zdaleka obrońcą mowę. — Wszyscy podróżowaliście po szlaku i wiecie, co to znaczy. Nie bijcie psa, kiedy upadnie. Wysłuchaliście dopiero głosu jednej strony. Nigdy czystszy człowiek, niż Jack Westondale, nie jadł z waszej misy i nie dzielił waszego łoża. Ale posłu-

chajcie: niedawno oddał cały swój majątek, czterdzieści tysięcy, towarzyszowi, Joe Castrele dla kupienia udziału w Dominium. Dziś byłby już milionerem. Gdy jednak zatrzymał się w Circle City, pielęgnując chorego na szkorbut kolegę — cóż zrobił Castrele? Poszedł na pijatykę do Mac Farlanda i przegrał w karty wszystko, co do grosza. Nazajutrz znaleziono go martwego w śniegu. A biedny Jack wyrzekł się swego zamiaru powrotu tej ziemy do młodej żony i synka, którego jeszcze nie widział. Zauważyliście, że wziął tylko tyle, ile przegrał jego towarzysz — czterdzieści tysięcy. Dobrze. Pojechał. I cóż należało uczynić.

Kid obejrzał uważnie koło swych słuchaczy-sędziów, zauważył łagodność ich twarzy — i wznosił kielich.

— A więc, zdrowie podróznego, co noc tę spędza na szlaku! Niechaj wystarczy mu żywności, niechaj psy jego nie ustaną w drodze, niechaj zapalki nie odmówią mu ognia. Bóg niech go prowadzi, a szczęście nie opuszcza!

— I niech przepadnie straż konna! — zakrzyknął Bettles, hucznie rozstrzaskując pustą szklenicę.



ŚNIEŻNA MARTWICA

Prawo białego człowieka 6

4-32-34-44-45-47-(15)

— Carmen nie pociągnie dłużej nad dwa, trzy dni.

Mason splunął (przyczem ścięta grudka lodu uderzyła o zmarzłą ziemię), uważnie obejrzał biedne zwierzę, wreszcie podniósł łapę jego do ust i począł ogryzać grudki lodu, okrutnie skuwające psie palce.

— Nie spotkałem jeszcze nigdy psa z szumnem imieniem, któryby był coś wart — przemówił nareszcie, kończąc zajęcie i odpychając od siebie zwierzę. — Wystarczy dać psu uroczystą nazwę, aby poprostu nie udźwignął ciężaru odpowiedzialności i zmarniał. A czy stanie się coś podobnego z psiskiem porządnie nazwanem, w rodzaju Kashier'a, Sivash'a lub Kosmatego? Nie, mój panie! Ot, popatrzcie na przykład na Shookum'a, ten...

Hap! Silny, zgłodniały pies błyskawicznym rzutem cielska cisnął się ku Masonowi, który zaledwie zdążył uskoczyć, ratując gardło od chwytnych klów zwierza.

— A... więc tak? Masz!

Straszny cios biczyska po głowie powalił napastnika w śnieg. Pies zawył żałośnie i z pyska polala mu się żółta piana.

— Tak więc, mówiłem, popatrzcie na Shookum'a, to

dopiero prawdziwy pies północny. Gotów jestem pójść o zakład, że pożre Carmen nim minie tydzień.

— Ja zaś założyłbym się, że my sami pokosztujemy Shookum'a i to w najkrótszym czasie — przemówił Malemute Kid, przewracając zmarzły placek, który położył przed ogniem.

— A ty, jak myślisz, Ruth?

Indjanka, warząca kawę, wrzuciła do garneczka kawałek lodu, aby osadzić fusy, popatrzyła na Kida, potem na męża, wreszcie na psy i — nie odrzekła nic. Prawda była zbyt oczywista, aby warto było potwierdzać.

Czekało ich jeszcze dwieście mil nieznanego bezdroża. Zapasy żywności dla siebie mogli jeszcze od biedy rozłożyć na jakie pięć-sześć dni, ale dla psów nic już nie mieli. Jasne więc, że innego wyjścia nie było.

We troje zasiedli koło ogniska i zabrali się do nędznego obiadu. Był to krótki postój południowy, to też psów nie wyprzęgano. Pokładły się więc koło sanek i pożądliwymi oczyma patrzyły na jedzących.

— Od jutra trzeba zrezygnować z południowego odpoczynku i obiadu — rzekł Malemute Kid, — musimy też psy mieć na oku, bo codnia są bardziej złe i przy sposobności mogą się rzucić na każdego z nas.

— I pomyśleć tylko, że byłem kiedyś nauczycielem w niedzielnej szkole i prezesem chrześcijańskiego związku.

Mason wymówił te słowa spokojnie i jakby mimochodem, spoglądając marząco na końce swych mokasyń, z których unosiła się gęsta para. Wkrótce jednak zadumę przerwała Ruth, podając kubek kawy.

— Chwała Bogu, że mamy jeszcze trochę herbaty. Widziałem kiedyś, jak rośnie w dolinie Teeneessi. Ilebym dał teraz za gorący kukurydziany placek! No, nie martw się, Ruth, niedługo już będziesz znosić głód i chłód i chodzić w jelenich butach.

Na twarzy kobiety zabłysła radość, zaś oczy rozjaśniły się bezgraniczną miłością do białego pana. Przedtem nie знаła białego człowieka, nie widziała wogóle nikogo, ktoby traktował kobietę lepiej, niż juczne zwierzę.

— Tak, tak, Ruth, — ciągnął mąż w tem nieprawdopodobnem narzeczu, w którym tylko oni porozumieć się mogli; — poczekaj trochę. Wypluczemy złoto i pojedziemy do Dalekiego Kraju. Weźmiemy łódkę Białego Człowieka i pojedziemy po Słonej Wodzie. Zła woda, straszna woda. Ogromne góry tańczą po niej! Wielka, wielka woda; jedziemy daleko, daleko, dwadzieścia snów, czterdzieści snów (wyraźnie na palcach wskazywał ilość dni) wciąż tylko woda, zła woda. Nareszcie przyjeżdżamy. Duża wieś, ogromna wieś i ludzi wiele, jak moskitów w skwarne lato. Wigwamy ich wielkie, wysokie, jak dziesięć, dwadzieścia sosen...

Tu przerwał bezradnie i spojrzał prosząco na Kida, nagle domyślił się sam i starannie począł tłumaczyć rękami, co znaczy wysokość dwudziestu sosen, postawionych jedna na drugą. Malemute Kid patrzył na niego z dobrodusznym uśmiechem, w szeroko otwartych źrenicach Ruth jaśniało zdziwienie i zachwyt, bo chwilami zdawało jej się, że mąż żartuje, a dobroć taka radowała serce kobiety.

— A potem wchodzimy do wielkiej skrzyni i puff!

mkniemy do góry (dla uzmysłowienia ruchu windy, Mason podrzucił pusty kubek i, złapawszy go szczęśliwie, ciągnął dalej): — Potem bac! jedziemy wdół. Ot, jacy tam mądrzy ludzie. Posłuchaj: ty naprzykład jedziesz sobie do fortu Yukonu, a ja do Arctic City — dwadzieścia pięć snów drogi, a przez całą tę drogę ciągnie się długi sznur. Ja chwytam za koniec sznura i mówię: Hallo, Ruth! Jak się masz? a ty powiadasz: kto to mówi? mój drogi mąż? A tak, powiadam. Ty zaś znów na to: Nie mogę piec dobrego chleba, bo nie mam sody. Wtedy ja odpowiadam: Poszukaj-no dobrze w spiźarni, koło worka z mąką — do widzenia! Idziesz do spiźarni i znajdujesz dużo sody. A przez cały ten czas ty — w forcie Yukonu, ja — w Arctic City. Ot, jacy mądrzy ludzie!

Ruth uśmiechała się do pięknej bajki z tak filuterną miną, że obaj mężczyźni na jej widok pokładali się ze śmiechu. Potem psy skoczyły na siebie i trzeba je było rozpędzać; tymczasem Ruth uwiązała toboły u sań. Ruszono w dalszą drogę.

Cuda Dalekiego Kraju pozostały niedopowiedziane.
— Masch! Shookum! Chi! Masch!

Mason kilkoma silnemi razami bata podniósł na nogi psy, a gdy nareszcie z całych sił pociągnęły postronki — pomógł długim kijem dźwignąć z miejsca przymarzłe sanie. Ruszył. Za nim ruszyły sanie Ruth, której pomógł Malemute Kid, on zaś ze swemi psami zamykał pochód. Ten silny, pierwotny człowiek, co jednym ciosem pięści walił z nóg, nie był w stanie uderzyć psa, serce ścisnęło mu się żałością, gdy patrzył na wysiłki biednych zwierząt. Nie potrafił zmusić się do

bicia, więc tylko nawoływał zcicha, czego poganiacze nie czynią prawie nigdy.

— Nuże, biedaki — mrucał, usiłując zepchnąć sanie.

Psy z żalosem skomleniem wyteżyły całą siłę i narzeczcie zaprzęg pomknął wślad za poprzedniami.

Ani słowa rozmowy. Trudność podobnej jazdy nie pozwala na takie zbytki. Z pośród wszystkich rodzajów ciężkiej pracy fizycznej torowanie drogi przez śniegi dalekiej Północy należy chyba do najcięższych. Szczęśliwy, kto może wytrzymać jazdę całodzienną i to po bitych już śladach, okupiwszy ją tylko ceną milczenia. Najciężej jednak jest znaczyć ślad pierwszy — torować drogę. Pomimo szerokich, błoniastych nart nogi co chwila zapadają po kolana w śnieg. Wtedy trzeba wnieść nogę do góry, prosto do góry — biada, jeśli choć o cal zmienić kierunek — dopóki cała narta nie zostanie wydobyta ze śniegu. Wtedy wyciąga się nogę nad powierzchnię śniegu i stawia ją mocno zpowrotem; następnie tę samą czynność odbywa druga noga, podniesiona na pół yarda wgórę. Jeśli ktoś, kto czyni to po raz pierwszy, potrafi nie skrócić nart i nie zawalić się w głąb poprzez kruchą, zdradliwą powierzchnię, jeżeli w ostatecznym wyczerpaniu nie rzuci tej roboty po niespełna dwustu yardach, jeżeli w dodatku potrafi uniknąć zderzenia z psami i zaplątania w ich uprzęż — to wieczorem może z czystym sumieniem zaszyć się w futrzany worek do spania, z dumą, której nie pojmie człowiek niedoświadczony w podobnych sprawach. Komuś zaś, kto przeszedł dwadzieścia snów po Wielkim Szlaku — bogowie sami pozazdrościć mogą.

Godziny miały za godzinami i milczący podróżni posuwali się naprzód, zdęci bogobojną grozą Śnieżnej Martwicy. Przyroda rozporządza tyloma środkami, aby ukazać człowiekowi całą jego nicość! Wieczna kolejność przyływu i odpływu wód, mocarny gniew burzy, trzęsienie ziemi, straszliwy loskot grzmotu. Lecz najbardziej zdumiewa i oszłamia nieruchoma Martwica Śnieżna. Ani drgnienia. Jasne niebo lśni, jak miedź, najlżejszy szelest zdaje się być świętokradztwem. Człowiek truchleje i lęka się własnego głosu. Samotna drobina życia wędruje przez nieskończone pustynie śmiertelnego władztwa, drząc tajemnie w poczuciu własnej zuchwałości. Człowieka opanowują dziwne myśli: świadomość wiekuistej Istoty Rzeczy otwiera mu się w nagłym objawieniu; chwyta go lęk przed śmiercią i Bogiem, rodzi się nadzieja nieśmiertelności, wstaje mgliste poczucie, jak daremna i marna jest walka człowieka. Dusza zwolna zatapia się w wieczność. Wtedy — i tylko wtedy — człowiek staje oko w oko z Bóstwem.

Dzień miał się ku końcowi. Rzeka skręcała raptownie i Mason dla skrócenia drogi skierował tabor naprzętał przez wąski przesmyk. Psy jednak nie wzięły stromego zbocza. Spróbowały raz i drugi, ale mimo pomocy Ruth i Kida, popychających ztyłu, sanki raz po raz ześlizgiwały się nadół. Nareszcie nieszczęśliwe zgłodniałe psiska nateżyły wszystkie siły.

Hoop! i sanie dosięgły wierzcholka. Lecz w tej samej chwili pies przodownik podał się nieco w prawo, pociągając za sobą cały zaprząg i zaczepiając o narty Masona. Ten stracił równowagę i runął w śnieg, za nim runął

pies — i cały tabor z uprzężą, bagażami i ludźmi zsunął się i potoczył wdół.

Trach! okrutne razy bicz spadły na grzbiety psów, zwłaszcza tego, który zmylił drogę.

— Mason, nie trzeba, dosyć! — łagodził błagalnie Malemute Kid; — biedne stworzenie już ledwo zipie. Przyprzęgnijno lepiej moje psy.

Mason umyślnie wstrzymał bat, dopóki towarzysz mówił, ale wraz z ostatniem słowem długi rzemienny wąż znowu śmignął w powietrzu i owinął ciało zwierzęcia.

Carmen — bo ona to była — przypadła w śnieg, zaskomliła żałośnie i runęła na bok.

Było coś tragicznego w tym momencie podróży: umierające pośród śniegów zwierzę, a nad niem dwu ludzi, patrzących ku sobie z niemą wściekłością. Ruth wodziła trwożliwemi oczyma to po jednej to po drugiej twarzy, lecz Malemute Kid opanował się szybko, tylko w oczach pozostał mu gniewny wyrzut; nachylił się nad psem i rozciął postronki. Nikt nie wymówił słowa. W milczeniu przyprzęgnięto psy Kida i po chwili z wysiłkiem wdrapano się na wzgórze. Sanki po dawnemu mknęły naprzód, a za niemi wlokła się, uwolniona już, lecz napółżywa Carmen. Na północy istnieje zwyczaj, że psa się nie dobija, dopóki ten idzie, ponieważ w drodze można szczęśliwym trafem upolować jelenia i nakarmić zwierzę.

Mason dawno już żałował w duszy nadmiernego uniesienia, ale ambicja nie pozwalała mu tego przyznać. Pracował więc dalej na czele małego taboru, nie podejrzewając nawet, że i nad jego głową unosila się już — śmierć.

Droga wiodła przez zasłoniętą od wiatrów dolinę, gęsto porośłą wysokopiennym lasem. Przed nimi, na jakie pięćdziesiąt kroków, wznosiła się ogromna sosna. Stała tu Bóg wie ile pokoleń, przeznaczona widocznie przez los dla wypełnienia wyroku nad człowiekiem. Mason zatrzymał się, żeby zawiązać rozluźniony rzemień obuwia; sannie stanęły, a zmęczone psy pośpiesznie legły na śniegu. Nieruchoma cisza zastygła w powietrzu. Mrozem skuty las, zda się, zataił oddech. Śmiertelne milczenie ścięło usta i serce natury.

Lecz nagle jak gdyby westchnienie wionęło przez powietrze. Nie było prawie dźwiękiem, lecz niby przeczuciem czegoś, co stanie się zaraz w atmosferze ciszy i bezruchu.

Ogromne drzewo zachwiało się nagle pod ciężarem lat i śniegu, kończąc ostatni akt tragedji życia.

Mason usłyszał ostrzegawczy trzask i wyprostował się żeby odskoczyć. Ale było już za późno... Drzewo-olbrzym runęło na jego ramiona.

Nieoczekiwane niebezpieczeństwo, nagła śmierć — jakże często Malemute Kid stawał z niemi oko w oko!

Igliwo sosny drżało jeszcze, kiedy rzucił się na pomoc towarzyszowi. Kobieta również nie straciła głowy i nie zemdlala, jakby to była uczyniła niejedna z jej białych sióstr. Na rozkaz Kida natychmiast całym ciałem napała na drugi koniec utworzonej naprędcy dźwigni, zmniejszając w ten sposób ciężar przywalający męża, Kid tymczasem zajadłe rąbał pień. Stał dźwięcznie gryzła zmarzłe drzewo i przy każdym uderzeniu topora sły-

chać było chrapliwy oddech, wrywający się z potężnej piersi Kida: hha! hha!

Nareszcie Kid złożył na śniegu łachman, który przed chwilą był jeszcze człowiekiem. Ciężko było patrzeć na mękę towarzysza, ale może ciężiej jeszcze na niemy ból kobiety, w której błędnym wzroku przebliski nadziei powlekała co chwila ostateczna rozpacz.

Słów zamienili niewiele. Mieszkańcy Północy wczesnie uczą się oceniać próżność słów i wartość działania. Przy temperaturze 65° F. człowiek niedługo może przeleżeć na śniegu i nie zamrzeć; to też szybko poprzecinano rzemienie przytracające wjuki do sanek i, otuliwszy ranego w futra, ułożono na stosie miękkiej sośniny. Rozpaliwszy ognisko z gałęzi złowrogiego drzewa, zgóry i po bokach sklecono naprędce dach, żeby całe ciepło, zbierając się, ogrzewało chorego.

Ludzie obeznani z patrzeniem śmierci w oczy nie mylą się, kiedy godzina ich wybiła. Mason był zdruzgotany straszliwie. Prawa ręka, prawa noga i kręgosłup — złamane; obie nogi aż do krzyża — zupełnie obezwładnione i prawdopodobnie uszkodzone organy wewnętrzne. Tylko głuchy jęk był słabym znakiem życia.

Nadziei — żadnej, możliwości jakiegokolwiek pomocy — żadnej. Szybko i bezlitośnie nadchodziła noc. Twarz Ruth zastygła w beznadziejnym męstwie, właściwem ludziom jej plemienia. Bronzowe rysy Kida przecięło kilka nowych brózd.

Mason w rzeczywistości cierpiał może najmniej z nich trojga, dobroczynna gorączka bowiem przeniosła go ku

złotym mirażom dzieciństwa, ku życiu we wschodnim Teeneessi i Wielkich Dymiących Górach.

Nagle zamarzyło mu się dawno zapomniane rodzinne Południe. Bredził coś o kąpeli w rzece, o wyprawie do cudzego ogrodu po kawony i kukurydzę. Dla Ruth było to niezrozumiałe, ale zato wzruszające wspomnienia podwójnie męczyły Kida, tyle lat już oderwanego od stron rodzinnych.

Nad ranem choremu wróciła przytomność i Malemute Kid łagodnie pochylił się nad nim, żeby pochwycić cichy szept.

— Pamiętasz, jak zebraliśmy się kiedyś wszyscy na Tananie? Na przyszlą wiosnę minie już cztery lata. Wtedy jeszcze była mi obojętna, pociągająca mnie tylko jej uroda, a więcej jeszcze niezwykłość całej przygody. Ach, jakże od tego czasu nauczyłem się kochać ją i cenić! Była mi wierną żoną i przyjacielem, a w potrzebie dobrym towarzyszem. W pracy zaś, sam wiesz, jest niezastąpiona. Pamiętasz, jak przepawiła się kiedyś przez Jelenie Porohy, żeby pomóc nam ruszyć z mielizny, chociaż kule gęsto cmokały wokół? A głód w Nuklokyeto? Pamiętasz, jak przeszła po krze, żeby zdążyć do nas z ważną wiadomością? Tak, była mi dobrą żoną; lepszą, niż tamta druga... Nie mówiłem ci o niej? Tak, to było jeszcze w Stanach. Dlatego właśnie jestem tutaj.

Wyjechałem, aby pozostawić jej swobodę. To też otrzymała już rozwód. Ale to zresztą nie ma nic wspólnego z Ruth. Projektowałem, że na przyszły rok skończę ze złotem i ruszę precz stąd... razem z nią. Ale teraz już za późno. Posłuchaj, nie odsyłaj jej zpowrotem do ro-

dzinnego plemienia. Zbyt trudno jest kobiecie tak powracać. Pomyśl, przez cztery lata jadła groch, słońcę i suszone owoce, a teraz wrócić ma do suszonej ryby i jeleniego mięsa? Spróbowała naszego życia, polubiła je i nagle miałyby znowu wracać do dzikiego stanu? Zatrósz się o nią, Kid! Czemużbyś na przykład ty sam... zresztą nie, nie, ty zawsze stroniłeś od kobiet i nie powiedziałeś mi nigdy, co cię przygnało do tego kraju. Bądź dobry dla niej i odeślij ją do Stanów przy pierwszej sposobności. Lecz gdyby zatęskniła do swoich — dopomóż jej powrócić do ojczyzny.

A dziecko... ono jeszcze mocniej przywiązało nas do siebie. Kid, mam nadzieję, że to będzie syn. Kid, to krew z krwi mojej — on nie powinien pozostać w tym kraju. A jeśli będzie dziewczynka — przecież tu nie wytrzyma! Postaraj się sprzedać moje futra, można za nie wziąć około pięciu tysięcy dolarów. Pacific Company ma przynajmniej drugie tyle moich pieniędzy. Zajmij się temi sprawami, jak własnemi. Przypuszczam, że sąd powinien mu przyznać wszystkie prawa. Zatrósz się, żeby otrzymał porządne wykształcenie, a przede wszystkim, Kid, nie pozwól mu nigdy przyjechać do tego kraju. Tu niema miejsca dla białych.

Umieram, Kid... zostało jeszcze trzy do czterech dni. Ale wy nie możecie pozostać dłużej. Powinniście jechać dalej. Pomyśl, przecież to moja żona i mój syn. O Boże, wciąż wierzę, że urodzi się syn! Wam nie wolno pozostawać przy mnie. Żądam, abyście natychmiast jechali dalej. To ostatnia prośba umierającego!

— Pozwól nam pozostać z tobą choć trzy dni! — bła-

gał Malemute Kid. — Może będzie ci lepiej, nareszcie...
wszystko stać się może:

— Nie.

— Trzy dni tylko...

— Nie można; powinniście jechać dalej.

— Chociaż dwa dni!

— Kid, tu chodzi o moją żonę i dziecko, jakże możesz prosić o to?

— Pozwól choć jeden dzień pozostać!

— Nie, nie, nie pros.

— Jeden dzień tylko. Z żywnością damy sobie jakoś radę, a może uda mi się zabić jelenia.

— Nie, no zresztą dobrze, ale tylko jeden dzień, ani chwili dłużej. I jeszcze, Kid... Ty nie zostawisz mnie tutaj samego. Jeden wystrzał, jedno naciśnięcie cyngła... rozumiesz? Boże, o Boże, krew z mojej krwi i ja go nie zobaczę! Zawołaj Ruth. Chcę się z nią pożegnać i powiedzieć, że powinna teraz myśleć tylko o dziecku, a nie czekać tutaj mojej śmierci, bo gotowa nie zechcieć jechać z tobą, mój druhu stary...

Kid, posłuchaj jeszcze, zacznij kopać tam wdole, wiesz, trochę wyżej od płuczki; wyrobiłem tam kiedyś czterdzieści centów złota z jednej łopaty.

I jeszcze jedno, Kid...

Kid pochylił się, żeby schwytać szmer słów konającego, cichy szept, którym ten przelamał hardą swą duszę.

— Ja... bardzo... żałuję, że, no wiesz... Carmen.

Pozostawiwszy Ruth cicho płaczącą przy mężu, Malemute Kid uwiązał narty, wziął strzelbę i poszedł do lasu. Żadne tragedje surowej Północy nie były mu obce,

a przecież po raz pierwszy stanął przed tak okrutnym zadaniem. Sprawa była matematycznie prosta: ocalić trzy życia za cenę jednego, które dogasało. Pomimo to jednak — wahał się. Pięć lat kuły się więzy ich przyjaźni. Przez długie pięć lat ramię przy ramieniu stawali wobec śmierci; w kopalniach, na rzekach, na śnieżnych równinach, razem znosili głody i chłody. Zwiążali się wzajemnie tak mocno, że Kid chwilami bywał nawet zazdrosny o Ruth. Jakże teraz własną ręką przerwać miał nić drogiego życia towarzysza! Modlił się gorąco, żeby spotkać jelenia, choćby jednego jelenia. Ale chyba wszelkie żywe stworzenie opuściło ten kraj — i ku wieczorowi zmęczony myśliwy przywłókł się do obozu z pustymi rękami i ciężkiem sercem.

Nagle do uszu jego doszło zajadle szczekanie psów i przesywający krzyk kobiety. Pobiegł co sił i za chwilę ujrzał Ruth, toporem opędzającą się gromadzie rozjuszonych psów. Zwierzęta złamały widocznie żelazne prawo człowieka i rzuciły się na żywność. W tej dzikiej, pierwotnej walce ze zwierzęciem Kid stanął po stronie kobiety. Kolba jego strzelby i topór w ręku Ruth podnosiły się i opuszczały z okrutną regularnością na głowy i grzbiety psów, które to z błyskawiczną szybkością miały się wokoło nich, to wiły w śniegu, szczerząc groźnie kły i lyskając przekrwionymi oczyma.

Nareszcie pobite zwierzęta cofnęły się i pokładły zdala od ogniska, liżąc rany i skarżąc się gwiazdom na swą nieszczęsną dolę.

Okazało się, że przepadł cały zapas suszonej łososiny i pozostało tylko około pięciu funtów mąki — na dwieście

mil przeprawy po pustyni. Ruth wróciła do umierającego, Kid zaś począł ćwiartować ciepłe jeszcze ciało psa, którego czerep roztrzaskał przed chwilą obuchem. Starannie schował mięso — skórę zaś i wnętrzności rzucił psom. Ranek przyniósł nowe kłopoty — zwierzęta poczęły rzucać się na siebie. Pierwszą ofiarą była Carmen, która ledwie dysząc, wciąż jeszcze czepiała się życia. Cała sfora natarła na nią, nie zważając już na razy bicza, padające zgóry; psy warczały i wyły z bólu, nie ustąpiły jednak, dopóki biedne zwierzę nie zostało pożarte ze skórą, sierścią i kośćmi.

Wtedy Malemute Kid zabrał się do roboty, mimowoli słuchając nieprzytomnego szeptu towarzysza.

Począł przygotowywać jedno z tych napowietrznych urządzeń, których używają myśliwi dla chowania zapasów mięsa przed wilkami i szakalami. Ruth wodziła oczyma za każdym jego ruchem. Kid pochylił ku sobie wierzchołki dwóch młodych sosen i przygiął je prawie do samej ziemi, przymocowawszy rzemieniem z jeleniej skóry. Następnie uspokoił batem rozwścieczone głodem psy i zaprzął do dwóch par sani, na które przepakował wszystkie toboły, z wyjątkiem futer, otulających Masona. Futra te owiązał mocno wokoło ciała towarzysza, końce ich zaś umocował do wierzchołków obu sosen. Tym sposobem wystarczyło tylko przeciąć rzemienie, aby ciało wleciało wgórze i zawisło w powietrzu. Ruth słyszała ostatnią wolę męża i nie śmiała się sprzeciwić. Kobieta rodzi się poto, aby być posłuszną woli mężczyzny, pana stworzenia — tyle tylko wiedziała Ruth.

Kid pozwolił jej na jeden jedyny wybuch rozpacz,

kiedy po raz ostatni ucałowała męża (obyczaj to obcy jej plemieniu).

Potem Kid zaprowadził ją do przednich sani i pomógł przymocować narty. Napółprzytomnie wzięła w ręce bat i kij i pognąła psy.

Kid wrócił do Masona, który był już nieprzytomny.

Długo siedział skulony u ogniska, czekał, ufał i modlił się o śmierć dla towarzysza.

Ciężko jest zostawać samemu w Śnieżnej Martwicy z myślami pełnymi ciemności.

Miłosierna jest cisza pod szarem niebem pochmurnem, kiedy chroni naszą troskę i otula jakby westchnieniem nieskończonego współczucia, ale bezlitosna jest cisza wśród śniegów, pod zimną, stalową kopułą, jasną i skrzeplą — bez duszy.

Minęła jedna godzina, potem druga — człowiek nie umierał. W południe słońce, ledwie wyjrzawszy z za horyzontu, rzuciło na niebo krwawy odblask — i zgasło.

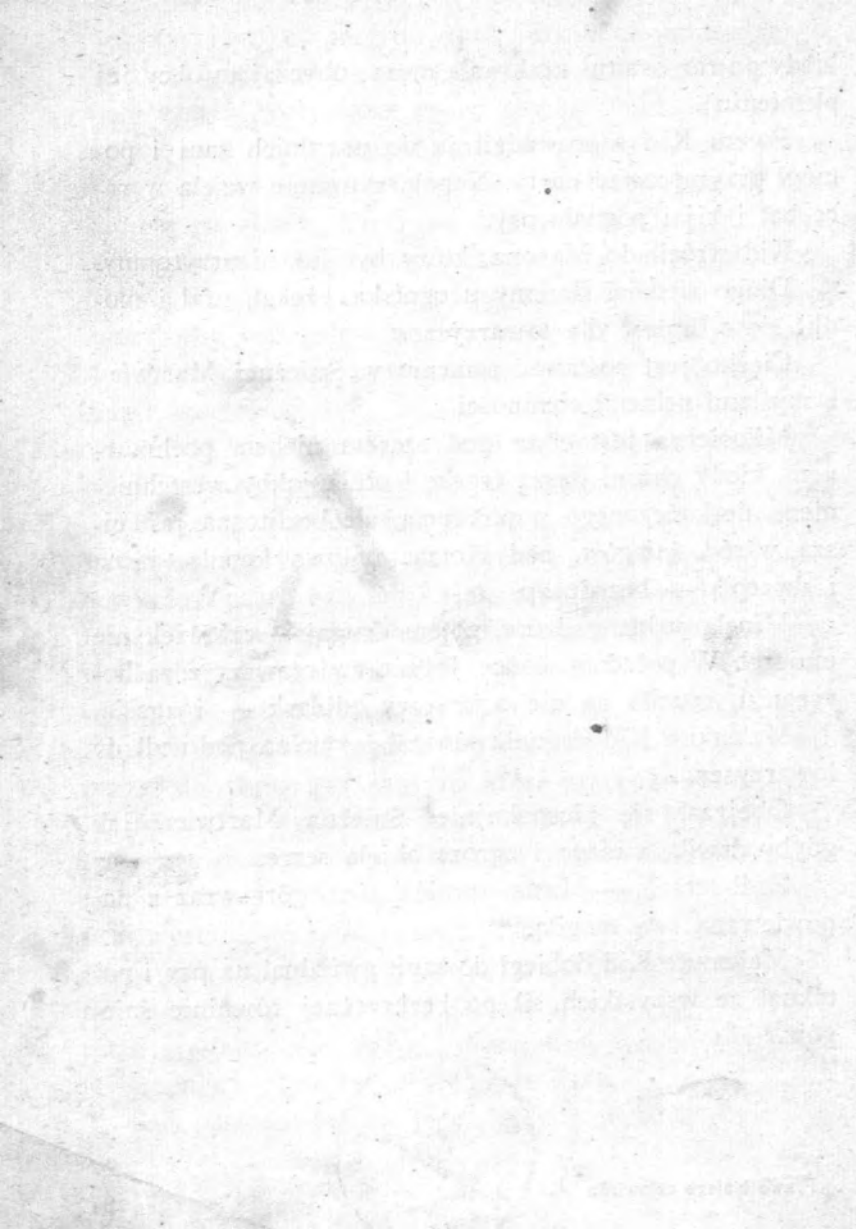
Malemute Kid^m drgnął, powstał i z wolna podszedł do towarzysza...

Obejrzał się niespokojnie. Śnieżna Martwica jak gdyby drwiła z niego i zgroza objęła serce.

Padł strzał — Mason wzniosł się w górę wraz z napowietrzną swą mogiłą.

Malemute Kid dobiegł do sani, gwizdnął na psy i pomknął ze wszystkich sił po bezbrzeżnej równinie śniegów.





NA POSTOJU

170
171
172
173
174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200
201
202
203
204
205
206
207
208
209
210
211
212
213
214
215
216
217
218
219
220
221
222
223
224
225
226
227
228
229
230
231
232
233
234
235
236
237
238
239
240
241
242
243
244
245
246
247
248
249
250
251
252
253
254
255
256
257
258
259
260
261
262
263
264
265
266
267
268
269
270
271
272
273
274
275
276
277
278
279
280
281
282
283
284
285
286
287
288
289
290
291
292
293
294
295
296
297
298
299
300
301
302
303
304
305
306
307
308
309
310
311
312
313
314
315
316
317
318
319
320
321
322
323
324
325
326
327
328
329
330
331
332
333
334
335
336
337
338
339
340
341
342
343
344
345
346
347
348
349
350
351
352
353
354
355
356
357
358
359
360
361
362
363
364
365
366
367
368
369
370
371
372
373
374
375
376
377
378
379
380
381
382
383
384
385
386
387
388
389
390
391
392
393
394
395
396
397
398
399
400
401
402
403
404
405
406
407
408
409
410
411
412
413
414
415
416
417
418
419
420
421
422
423
424
425
426
427
428
429
430
431
432
433
434
435
436
437
438
439
440
441
442
443
444
445
446
447
448
449
450
451
452
453
454
455
456
457
458
459
460
461
462
463
464
465
466
467
468
469
470
471
472
473
474
475
476
477
478
479
480
481
482
483
484
485
486
487
488
489
490
491
492
493
494
495
496
497
498
499
500
501
502
503
504
505
506
507
508
509
510
511
512
513
514
515
516
517
518
519
520
521
522
523
524
525
526
527
528
529
530
531
532
533
534
535
536
537
538
539
540
541
542
543
544
545
546
547
548
549
550
551
552
553
554
555
556
557
558
559
560
561
562
563
564
565
566
567
568
569
570
571
572
573
574
575
576
577
578
579
580
581
582
583
584
585
586
587
588
589
590
591
592
593
594
595
596
597
598
599
600
601
602
603
604
605
606
607
608
609
610
611
612
613
614
615
616
617
618
619
620
621
622
623
624
625
626
627
628
629
630
631
632
633
634
635
636
637
638
639
640
641
642
643
644
645
646
647
648
649
650
651
652
653
654
655
656
657
658
659
660
661
662
663
664
665
666
667
668
669
670
671
672
673
674
675
676
677
678
679
680
681
682
683
684
685
686
687
688
689
690
691
692
693
694
695
696
697
698
699
700
701
702
703
704
705
706
707
708
709
710
711
712
713
714
715
716
717
718
719
720
721
722
723
724
725
726
727
728
729
730
731
732
733
734
735
736
737
738
739
740
741
742
743
744
745
746
747
748
749
750
751
752
753
754
755
756
757
758
759
760
761
762
763
764
765
766
767
768
769
770
771
772
773
774
775
776
777
778
779
780
781
782
783
784
785
786
787
788
789
790
791
792
793
794
795
796
797
798
799
800
801
802
803
804
805
806
807
808
809
810
811
812
813
814
815
816
817
818
819
820
821
822
823
824
825
826
827
828
829
830
831
832
833
834
835
836
837
838
839
840
841
842
843
844
845
846
847
848
849
850
851
852
853
854
855
856
857
858
859
860
861
862
863
864
865
866
867
868
869
870
871
872
873
874
875
876
877
878
879
880
881
882
883
884
885
886
887
888
889
890
891
892
893
894
895
896
897
898
899
900
901
902
903
904
905
906
907
908
909
910
911
912
913
914
915
916
917
918
919
920
921
922
923
924
925
926
927
928
929
930
931
932
933
934
935
936
937
938
939
940
941
942
943
944
945
946
947
948
949
950
951
952
953
954
955
956
957
958
959
960
961
962
963
964
965
966
967
968
969
970
971
972
973
974
975
976
977
978
979
980
981
982
983
984
985
986
987
988
989
990
991
992
993
994
995
996
997
998
999
1000

Ręką w rękawicy uchwyciwszy kierownik, John Messner prowadził sanie. Drugą ręką rozcierał nos i policzki. Rozcierał co chwila, kiedy zaś zdrętwienie rosło, tarł mocniej. Czoło osłaniał mu daszek futrzanej czapki, której klapy zwisały na uszy. Resztę twarzy chronił brązowo-złoty zarost, osędziały od mrozu. Za mężczyznę sunęły ciężkie sanie yukońskie, przed nim rwał się i potykał zaprząg z pięciu psów. Postronki co chwila tarły o udo Messnera, a kiedy psy skręcały, sznur podcinał nogi. Droga była kręta, Messner więc ciągle plątał się w postronki i prawie padał. Ruchy jego były ociężałe i niezręczne, świadczące o dużym zmęczeniu, sanie co chwila podbijały mu nogi.

Dobrnąwszy do kawałka równiejszej ścieżki, gdzie zaprząg mógł iść bez prowadzenia, Messner puścił kierownik i począł walić prawą ręką w drewniany przód sani. Ale trudno było wzbudzić w niej obieg krwi, tak bardzo już zastygła. Równocześnie nie przestawał z całych sił rozcierać nosa i policzków.

— Zbyt zimno dziś na podróż — zamruczał.

Mówił głośno sam do siebie, jak każdy, kto długo przebywa w samotności.

— Tylko warjat może jeździć przy takiej temperaturze; 80-ciu stopni niema tylko dlatego, że jest 79.¹

Wyjął zegarek, pokręcił w palcach i zpowrotem włożył do kieszeni grubej wełnianej kurty. Potem spojrział na niebo i powiódł oczyma po białej smudze na południowej stronie.

— Dwunasta — zamruczał — niebo jasne, a słońca ani widu.

Brnął w milczeniu z dziesięć minut, potem dodał takim tonem, jakby kończył poprzednie zdanie:

— Zupełnie nie posuwam się z miejsa; za zimno jest dziś na podróż.

Nagle krzyknął, zatrzymał zaprząg i w przystępie panicznego strachu walił ręką w drewno sani.

— Cóż, zamęczyły się bestje — zawołał na psy, które padły ciężko na lód, żeby odpocząć chwilę. Głos rwał mu się i wstrząsał od ciągłych uderzeń ramienia o drzewo.

— Za jakie to grzechy inne dwunogie zwierzęta zawładnęły wami, wprzęgły w uprząg, spaczyły waszą naturę i zrobiły z was niewolników!

Potał nos już nie powoli, lecz ostro, żeby pobudzić w nim krążenie krwi, poczem znowu zapędził psy do roboty.

Jechał po zamarznętej powierzchni wielkiej rzeki. Poza nim rozścielała się ona w olbrzymi skręt, zgubiony w fantastycznych garbach wzgórz, zaśnieżonych i milczących. Przed nim rozgałęziała się na kilka odnóg, rzeźbiąc

¹ Skala Fahrenheita.

kształty niesionych na swej piersi wysp i wysepek. Były one również milczące i białe. Żadne zwierzę, żaden owad nie mącił ciszy. Ptak nie przecinał zastygłego powietrza, nie słychać było ani dźwięku ludzkiego życia, ani śladu prac ludzkich. Świat spał, a sen podobny był do śmierci.

John Messner zastygł również i poddał się ogólnej apatii. Zmysły jak gdyby zdrętwiały od mrozu. Włókł się ze spuszczoną głową, automatycznie rozcieraając twarz i uderzając zmarzniętą ręką w drewno sani.

Ale psy były bystrzejsze, mogły jeszcze obserwować okolice, więc nagle przystały, odwracając głowy i spojrzwały w oczy panu ślepiami pełnymi myśli i pytania. Rzęsy i brwi ich były oszronione, głowa i grzbiet również wydawały się stare, wycieńczone i napółżywe. Chciał je pognać batem, ale nagle, jakby się opamiętał; przystanął i począł rozglądać się bacznie. Psy stały koło przerębla, prawdziwego przerębla, wyrąbanego siekierą w lodzie, grubym na 3¹/₂ cala. Świeża skorupka lodowa, powlekająca przerębel, świadczyła, że czas pewien był już nieużywany. Messner obejrzał wszystko dokładnie. Psy same wskazywały drogę, łakomie wyciągnąwszy pyski w kierunku ledwo dostrzegalnej ścieżki, wiodącej od rzeki na stromy brzeg wyspy.

— Dobrze już, dobrze, biedaczyska — zamruczał — dowiem się o wszystko. Nie jestem ani trochę mniej zmęczony od was.

— Wspiął się na brzeg i zniknął z oczu. Psy czekały, stojąc, na jego powrót. Wrócił nareszcie. Zdjął sznur od sani, zarzucił na własne plecy, zwrócił zaprząg w prawo i puścił psy na ścieżkę. Brzeg był stromy, ale siły

wróciły psom odrazu, kiedy pięć się poczęły ku górze, skamłając radośnie i brzuchami dotykając ziemi. Jeśli potknął się który, drugi kąsał go w nogę. Messner pomagał jak mógł, krzyczał z całych sił i ciągnął za sznur.

Wspięli się nareszcie na stromy stok, zwrócili w lewo i stanęli koło małej, drewnianej chałupy. Była to porzucona chatynka o jednej izdebce, rozmiaru osiem na dziesięć stóp. Messner odprzągnął psy, wyładował sannie i rozgospodarował w chacie. Ostatni przygodny mieszkaniec zostawił sporą wiązkę drew. Messner rozstawił swój żelazny piecyk i zapalił ogień. Do pieca włożył pięć suszonych łososi, żeby odmarzły dla psów, sam zaś przyniósł wody z przerębła i nastawił w garnczku od kawy. Zanim się zagotowała, stanął przy piecu i począł topić soplek lodu, zastygłe na wąsach i brodzie. Stopione krople, padając na blachę, parowały gwałtownie. Dla pośpiechu rozluupywał soplek palcami. Nawet raptowne szczekanie psów przed chatą nie oderwało go od tego zajęcia. Za chwilę posłyszał dzikie wycie i chrapanie obcych psów i równocześnie dźwięk głosów ludzkich. Ktoś stuknął do drzwi.

— Wejść — zamruczał głucho Messner, ssąc właśnie kawałeczek lodu z górnej wargi.

Drzwi otworzyły się i przez mglisty obłok pary zobaczył mężczyznę i kobietę, którzy weszli i stanęli we drzwiach.

— Proszę wejść — powtórzył ostrzej — i zamykać drzwi!

W mglistym półmroku chaty zaledwie mógł rozróżnić tych ludzi. Z twarzy kobiety, osłonionej futrem, wi-

dać było tylko parę czarnych oczu. Mężczyzna miał również oczy czarne. Na twarzy gładko wygolonej tylko wąsy osłaniały wargi.

— Chcieliśmy się dowiedzieć, czy niema tu gdzie w pobliżu drugiej chaty — zaczął mężczyzna, obrzucając równocześnie spojrzeniem niezajęty kąt izby — myśleliśmy, że chata jest pusta.

— Chata nie należy do mnie — odrzekł Messner. — Właśnie natrafiłem na nią przed kilkoma minutami. Wejdźcie i rozgospodarujcie się. Nie potrzebujecie też wyjmować waszego pieca. Miejsca starczy dla wszystkich.

Na dźwięk głosu kobieta rzuciła nań spojrzenie szybkie i ciekawe.

— Zdejmij futra — zwrócił się do niej towarzysz; — oporządzę psy, przyniosę wody i będziemy mogli się pokręcić.

Messner wyjął z pieca odgrzane lososie i wyszedł nakarmić psy. Musiał oganiać je od obcych psów, a kiedy wrócił do chaty, przybyły mężczyzna wylądował już sennie i nastawił kociołek z wodą. Woda Messnera zagotowała się, więc wsypał kawy, dodał jeszcze z pół szklanki zimnej wody i zdjął garnczek. Potem odgrzał na piecu kilka ciemnych sucharów i nieco fasoli, którą był ugotował jeszcze wczoraj i wiózł zmarzniętą.

Zdjął naczynie z piecyka, żeby oswobodzić miejsce, postawił je na skrzynce z zapasami, sam zaś usiadł na tłumoku z pościelą i zabrał się do jedzenia. Jedząc, rozmawiał o drodze i psach z mężczyzną, który z kolei topił nad piecykiem sople lodu, zamarznęte na wąsach. Dwie

ławcy stały w izbie. Po chwili przybyły mężczyzna rzucił na jedną z nich tłumok z pościelą.

— Będziemy spać tutaj, jeśli to panu nie przeszkodzi — powiedział — zresztą jako pierwszy ma pan prawo wyboru.

— Wszystko mi jedno — odrzekł Messner — obie ławki są równie dobre.

Rozesłał pościel na drugiej ławie i usiadł na brzegu. Przybyły wyjął małą skrzynkę podróżną z przyborami lekarskimi i wsunął pod koldrę zamiast poduszki.

— Pan jest doktorem? — zapytał Messner.

— Tak jest — odrzekł tamten — ale upewniam pana, że nie dla praktyki lekarskiej przybyłem do Klondike.

Kobieta rozpoczęła przygotowania do posiłku, mężczyzna jej pomagał, krajał słoninę i podsyczał ogień. W izbie panował półmrok, światło bowiem sączyło się skąpo przez małe okienko, zaklejone przetłuszczonym papierem. To też John Messner nie mógł rozpoznać dobrze twarzy przybyłej kobiety. Co prawda zdawał się zupełnie nią nie interesować. Ona zaś nieraz rzucała ciekawe spojrzenia w jego ciemny kąt.

— Ot, to mi dopiero życie! — zawołał entuzjastycznie doktor, przerywając toczenie noża o piec; — zachwyca mię ta ciągła walka o byt, zdobywanie wszystkiego własnymi rękami, ta bezpośredniość wrażeń, ten realizm...

— Tak, temperatura jest istotnie realna... — uśmiechnął się Messner.

— A wie pan przynajmniej, ile jest stopni? — zagadnął doktor.

Tamten potrząsnął głową.

— Pięćnie. Więc słuchaj pan: 74 niżej zera wskazuje termometr w saniach!

— To znaczy 106 poniżej punktu zamarzania, trochę za zimno dla podróży, co?

— Właściwie mówiąc, jest to prawdziwe samobójstwo — zdecydował doktor. — W podróży człowiek często natęży siły, oddycha głęboko i zaczerpuje samego mrozu w płuca. Wtedy odmraża wierzchołki, a kiedy martwa tkanka oddziela się od płuc, chwytą człowieka ostry, suchy kaszel, następnego zaś lata umiera na zapalenie płuc, zdziwiony, skąd mu się to wzięło! Zostaje w tej chałupie choćby i cały tydzień, dopóki temperatura nie podniesie się do 50-ciu stopni poniżej zera.

— Słuchaj-no, Tess — dodał po chwili, — czy nie uważasz, że kawa jest już dostatecznie gorąca?

Na dźwięk imienia kobiety John Messner drgnął. Rzucił na nią okiem i po twarzy przemknęło mu przeletne wspomnienie jakiejś dawno przepalanej i zapomnianej troski, co na jedną chwilę zmartwychwstała — i zgasła. Opanował się wysiłkiem woli. Twarz była znów napozór spokojna choć wzruszenie jeszcze nie minęło. Drażnił go półmrok, osłaniający rysy kobiety. Ta zaś pierwszym mimowolnym ruchem postawiła napowrót garneczek na piecyku, potem dopiero spojrzała na Messnera. Ale był już spokojny. Zobaczyła więc tylko mężczyznę, siedzącego na brzegu ławy, wpatzonego najobojętniej w końce swych mokasynów. Lecz kiedy umyśl-

nie odwróciła się do roboty, rzucił na nią znowu bystre spojrzenie. Wtedy ona, obejrzawszy się równie szybko, schwytała jego wzrok. Popatrzał teraz na doktora, dając jej poznać słabym uśmiechem, że ocenia fortel, jakim go przyłapała.

Zdecydowanym ruchem wyjęła ze skrzynki świecę i zapalki. Jedno spojrzenie na jej oświetloną twarz wystarczyło Messnerowi. Izdebka mała — chwila — dwa, trzy kroki i była już przy nim. Drżąc, trzymała świecę tuż przy jego twarzy i wpatrywała się weń oczyma, pełnemi lęku i zmieszania.

Poznała. Uśmiechnął się do niej cicho...

— Czego szukasz, Tess? — zapytał doktor.

— Szpilek do włosów — odpowiedziała, przechodząc dalej i przewracając rzeczy w jakimś worku podróżnym.

Rozłożyli jedzenie na pace z zapasami, sami zaś usiedli na skrzyni Messnera. Ten wyciągnął się na ławie i leżał na boku z ramieniem pod głową. Wyglądało to, jak gdyby wszyscy troje biesiadowali u jednego stołu.

— Z jakiej części Stanów państwo przybywacie? — zapytał Messner.

— San Francisco — brzmiała odpowiedź — jestem tutaj już ze dwa lata.

— Ja również pochodzę z Kalifornji — rzekł Messner.

Kobieta spojrzała nań błagalnie, ale tylko uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— Z Berkeley, zapewne pan słyszał.

Mężczyzna zainteresował się nagle.

— Z Kalifornijskiego Uniwersytetu? — zagadnął.

— Tak, skończyłem go w 86-tym.

— Nie, chciałem zapytać, czy nie był pan tam profesorem? Przypomina mi pan te typy — tłumaczył doktor.

— Żałuję bardzo — uśmiechnął się Messner pod wąsem. — Wolalbym być wziętym za poszukiwacza drogich kamieni, lub poganiacza psów.

— Uważam, że ten pan równie wygląda na profesora, jak ty na doktora — wtrąciła kobieta.

— Dziękuję — odrzekł Messner i, zwracając się do jej towarzysza, dodał: — Przy okazji, czy mogę zapytać o pańskie nazwisko, doktorze?

— Haythorne, jeśli zechce mi pan wierzyć na słowo; bilety wizytowe pożegnałem bowiem wraz z cywilizacją.

— Ach — więc mistriss Haythorne zapewne? — uśmiechnął się Messner ku kobiecie i skłonił się lekko.

Rzuciła mu spojrzenie nie błagalne już, lecz gniewne.

Haythorne właśnie miał zapytać go o nazwisko. Otworzył już usta, kiedy Messner przerwał mu nagle.

— Przypuszczam, doktorze, że potrafisz pan zaspokoić moją ciekawość. Przed dwoma czy trzema laty zaszło coś w rodzaju skandalu w kołach uniwersyteckich. Żona jednego z profesorów-Anglików — proszę wybaczyć, mistriss Haythorne — znikła z jakimś doktorem z San Francisco. Nazwiska narazie nie mogę sobie przypomnieć. Czy pamięta pan ten wypadek?

Haythorne kiwnął głową.

— Tak, swego czasu narobiło to nawet wiele wrzawy. Nazywał się Womble, Graham Womble. Posiadał znakomitą praktykę? Znałem go trochę.

— Więc tak? Nieraz starałem się dowiedzieć, co z nimi potem się stało. Będę mile zdziwiony, jeśli państwo coś o tem słyszeli; tamci nie zostawili bowiem po sobie ani śladu.

— O tak, znikli nadzwyczaj zrećnie...

Haythorne odchrząknął.

— Chodziły pogłoski, że udali się na Ocean Spokojny i że ich statek zginął gdzieś podczas tajfunu. Coś w tym rodzaju w każdym razie.

— Hm, tego jeszcze nie słyszałem — rzekł Messner; — mistriss Haythorne pamięta to może?

— O, doskonale — odpowiedziała opanowanym głosem, którego brzmienie przeczyło wyrazowi twarzy, rozpalonej gniewem; odwróciła się, żeby Haythorne tego nie zauważył. Ten zaś chciał właśnie zapytać Messnera o nazwisko, gdy przerwano mu znowu:

— Mówiono, że ów Mr. Womble był bardzo piękny i — hm — podobno miał wielkie szczęście do kobiet.

— W każdym razie, jeśli je miał, to odtąd się skończyło — zamruczał Haythorne.

— O kobiecie zaś mówiono, że była nieznośna. Podobno niezbyt słodkiem uczyniła życie męża.

— Nie słyszałem tego nigdy — zaprzeczył Haythorne. — W San Francisco mówiono odwrotnie.

— Żona-męczennica, hę? Rozpięta na krzyżu małżeństwa?

Doktor skinął głową. W szarych oczach Messnera zadrgała ciekawość, kiedy zaczął dalej:

— Tego można się było spodziewać. Każdy medal ma dwie strony. Mieszkając w Berkeley, znałem tylko

jedną stronę. Owa kobieta mieszkała przez czas dłuższy w San Francisco — nieprawdaż?

— Proszę o drugi kubek kawy — przeciął Haythorne.

Kobieta napełniła kubek, wybuchając równocześnie swobodnym śmiechem.

— Ależ warci jesteście dwóch najzjadlejszych plotkarek! — zawołała.

— To jest tak interesujące — uśmiechnął się ku niej Messner i zaraz zwrócił się do doktora. — Mąż nie miał zapewne zbyt dobrej reputacji w San Francisco?

— Odwrotnie, był to wzór moralności. Sztywny, zasuszony scholasta, bez kropli czerwonej krwi.

— Znał go pan? *

— Nie widziałem go nawet. Nie obracałem się nigdy w kółku uniwersyteckim.

— Znów tylko jedna strona medalu — mówił Messner tonem akademickiej dysertacji. — Nie był piękny, to prawda, brał zato żywy udział w życiu sportowem studentów, posiadał też podobno spory talent literacki. Napisał kiedyś jakąś sztukę, która dała mu rozgłos. Słyszałem też, że miał stanąć na czele departamentu angielskiego. Ale kiedy zaszła ta historia, usunął się od wszystkiego i zniknął z horyzontu. Jednym słowem, ta strona medalu wskazuje, że był to dla niego silny cios. Podobno bardzo kochał żonę.

Haythorne, skończywszy kawę, ziewnął, znużony, i zapalił fajkę.

— Całe szczęście, że nie mieli dzieci — ciągnął Messner.

Haythorne nie odrzekł nic i wziął do rąk rękawice i czapkę.

— Idę po drwa — powiedział, — potem można będzie zdjąć już mokasyny i urządzić się nieco wygodniej.

Drzwi zamknęły się za nim. Długą chwilę panowało milczenie. Mężczyzna wciąż siedział na łóżku nieruchomo. Kobieta usiadła na przeciwległej skrzyni.

— Jakże myślisz postąpić teraz? — rzuciła sucho.

Messner spojrział na nią z leniwem niezdecydowaniem.

— Cóż według twego zdania zrobić powinienem? Nic dramatycznego zapewne. Jak widzisz, jestem bardzo zmęczony podróżą, a na ławce jest tak wygodnie...

Kobieta przygryzła wargi* i zamilkła, widocznie wzburzona.

— Lecz... — zaczęła rozpaczliwie, załamała ręce i urwała.

— Zapewne nie życzysz sobie, żebym zabił Mr. Haythorne'a — powiedział z uprzejmym sentymentem. — Byłoby to nader żalosne i — upewniam cię — najzupełniej zbyteczne.

— Musisz jednak uczynić cośkolwiek! — zawołała.

— Przeciwnie. Jest zupełnie zrozumiałe, że nie mam absolutnie nic do uczynienia.

— Zamierzasz tu zostać?

Skinął głową twierdząco.

Rozejrzała się rozpaczliwie po izbie i rozłożonej na ławce pościeli.

— Noc nadchodzi, nie możesz tu zostać, nie możesz, powiadam ci, poprostu nie możesz!

— Bezwątpienia mogę. Pozwolisz przypomnieć sobie, że ja pierwszy znalazłem tę chatę i że jesteście w niej mymi gośćmi.

Znowu oczy jej obiegły kąty izby i spłonęły przerażeniem na widok drugiej ławy.

— Wobec tego usuniemy się my — wyrzekła stanowczo.

— To niemożliwe, masz suchy, zły kaszel, tak umiejętnie opisany przez pana Haythorne'a. On, jako lekarz, nigdy na to nie pozwoli.

— Więc cóż począć? — zapytała raz jeszcze, głosem napozór spokojnym, w którym szamotał się jednak stłumiony a wrzący gniew.

Messner popatrzał na nią z rodzicielską nieomal tkliwością, z głębokiem współczuciem i cierpliwością, w jakie się uzbroił.

— Kochana Tereso, jak ci już raz powiedziałem — nie wiem. Naprawdę nie myślałem jeszcze o tem.

— Och, doprowadzasz mnie do szaleństwa! — skoczyła na równe nogi i załamała ręce w bezsilnej wściekłości. Jakże do niepoznania się zmieniłeś! Dawniej byłeś inny!

— Być może — przyznał. — Postępowałem zawsze łagodnie i delikatnie i czyż nie dlatego mię porzuciłaś?

— Jakże się zmieniłeś! Co za nieznośny spokój! Boję się ciebie. Zamyślasz coś strasznego — wiem o tem. Bądź tylko ostrożny, nie unos się zbyt.

— Od czasu, jak mnie porzuciłaś, nie unoszę się już wcale.

— Poprawiłeś się... o tak, niezwykle się poprawiłeś — odrzekła.

Messner uśmiechnął się twierdząco.

— Pozostaw mnie na stronie. Mogę ci dać jednak pewną dobrą radę, która złagodzi sytuację. Powiedz panu Haythorne'owi kim jestem. Uczyni to nasz wspólny pobyt w tej chacie — że tak powiem — znośnym.

— Poco poszedłeś za mną do tego okropnego kraju? — zapytała niespodzianie.

— O, nie przypuszczaj proszę, że przyjechałem cię szukać, Tereso. Twoja ambicja nie powinna się tem pocieszać. Spotkanie nasze jest zupełnie przypadkowe. Zerwałem z dawnym życiem i rzuciłem się dokąd oczy poniosą. Jeśli mam być szczerzy, to udałem się do Klondike dlatego, że tu właśnie nie spodziewałem się spotkać ciebie.

Przed chatą dały się słyszeć kroki, stukanie zasówki, poczem drzwi się otworzyły i wszedł Haythorne, niosąc naręcz drewna.

Teresa pośpiesznie zaczęła sprzątać naczynia. Haythorne wyszedł znów po drzewo.

— Dlaczego nas nie zapoznałaś? — zapytał Messner.

— Powiem mu — odparła, skinąwszy głową. — Nie przypuszczaj, że się złąknę.

— Wiem, że mało czego się lękasz.

— Tak jest, nie lękam się również żadnego wyznania — wyrzekła nagle, a w głosie jej zadźwięczała miękka nutka...

— Obawiałbym się, że w tym wypadku spowiedź

będzie zużytkowaniem błędu na swoją korzyść, wyniesieniem siebie na koszt Boga.

— Nie deklamuj — przerwała z rosnącym wzruszeniem, — nigdy nie lubiłam akademickich dyskusyj. Przytem... nie lękam się niczego. Nawet — prośby o przebaczenie.

— Niema tu nic do przebaczenia, Tereso. Powinienbym ci raczej dziękować. Przyznaję, że z początku cierpiałem, ale potem, z nadejściem wiosny — tak uroczej — poczułem nagle, że jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Było to może dziwne odkrycie — ale było.

— A cobyś powiedział, gdybym zechciała wrócić?...

— Byłbym — popatrzał na nią kapryśnie — byłbym dość zafrasowany.

— Jestem twoją żoną. Nie masz jeszcze rozwodu.

— Wiem — pokiwał głową — byłem nadwyraz nieostrożny. Należało przede wszystkim postarać się o to.

Zbliżyła się nagle i położyła mu rękę na ramieniu.

— Nie chcesz mnie, John?... — Głos jej był słodki i pieszczący, a dłoń, jak samo zakłęcie. — A gdybym wyznała, że popełniłam błąd? Że byłam bardzo nieszczęśliwa. I jestem. I... rzeczywiście popełniłam błąd.

Strach począł ogarniać Messnera. Czuł, że słabnie pod lekką jej dłoń. Nie panował już nad położeniem, skoro łamał się wspaniały jego spokój. Patrzała mu w źrenice miękkimi oczyma, które, jak słońce, zdawały się topić wszystkie lody. Poczuł się nagle na skraju przepaści, zupełnie bezsilny wobec czaru, pchającego w przepaść.

— Wrócę do ciebie, John, wrócę dziś jeszcze, zaraz...

Jak w strasznym śnie wił się i dygotał pod jej dotknięciem. Słowa ostatnie szumiały słodko w jego sercu, jak daleka piosenka Loreley. Zdawało się, że ktoś gra ci-chutko tuż przy nim, a drżące nutki wybijają takt po samych bębenkach jego uszu.

Nagle zerwał się, odepchnął ramiona, owijające mu się wokół szyi i skoczył ku drzwiom. Zatrząsł nim paniczny lęk.

— Gotów jestem popełnić szaleństwo! — krzyknął.

Bryznęła drwiącym śmiechem i zakrzątnęła się koło stołu.

— Uprzedzałam cię przecież, żebyś się zbytnio nie burzył. Nikt cię nie pragnie, nie ludź się. Prostu zażartowałam. Jestem teraz szczęśliwsza, niż dawniej.

Ale Messner nie był łatwowierny. Pamiętał niezwykłą łatwość, z jaką zmieniła ton. Teraz zmieniła go znowu. To właśnie było wyzyskaniem omyłki. Nie, nie jest szczęśliwą z tamtym mężczyzną. Odkryła mu swój błąd. Ale ogień miłości własnej zdusił w nim wszystko inne. Mogła wrócić do niego! Było to jedyną rzeczą, której nie chciał.

Mimowoli dotknął zasówki drzwi.

— Nie warto uciekać — zaśmiała się. — Nie ukąszę!

— Wcale nie uciekam — bronił się po dziecinnemu, wkładając równocześnie rękawiczki. — Idę przynieść trochę wody.

Zabrał puste wiadra i otworzył drzwi. Obejrzał się za nią raz jeszcze.

— Proszę nie zapomnieć powiedzieć panu Haythorne'owi, kim jestem.

Messner przelamał skorupę lodową, zamrażającą w przeciągu godziny na przeręblu i napełnił wiadra. Ale nieodrazu wrócił do chaty. Postawiwszy naczynie na drodze, począł chodzić szybko tam i zpowrotem, żeby nie zmarznąć, bo mróz kąsał ciało, jak ogień. Broda zbieła mu od zamarzłego oddechu, kiedy nareszcie rozchmuryły się ściągnięte brwi, a na twarzy odmalowało mocno powzięte postanowienie. Widocznie zarysował mu się w myśli plan działania, bo stężałe od mrozu wargi pękły, jak gdyby w uśmiechu. Wiadra pociągnięte już były młodym lodem, kiedy podniósł je, idąc ku chacie.

Wszedłszy, zastał tamtego mężczyznę opartego o piec ruchem niepewnym i skrępowanym. Messner postawił wiadra na ziemi.

— Bardzo rad jestem poznać pana, Grahamie Womble — przemówił konwencjonalnym tonem, jak przystało na pierwszą znajomość. Ale nie wyciągnął ręki. Womble niełatwo dał się zbić z tropu, czując do tamtego nienawiść, jako do kogoś, kogo skrzywdził.

— Więc oto jest owa kość niezgody! Hm, owszem, owszem — mówił Messner dziwnym tonem. — Proszę wierzyć, naprawdę rad jestem, że spotkałem pana. Bardzo ciekaw byłem, co Teresa znalazła w panu, na czym właściwie, że tak powiem, polegała atrakcja. Owszem, owszem...

I obejrzał tamtego od stóp do głowy, wzrokiem, jakim się ocenia konia.

— Wiem, co musi pan czuć do mnie — zaczął Womble.

— O, nie o to chodzi — przerwał Messner z przesadną poufałością w głosie i zachowaniu — proszę nigdy nie myśleć o tem. Zato bardzo chciałbym wiedzieć, jak się panu podobała moja Tess? Ponad wszelkie oczekiwanie, co? Dobrze się trzyma? Życie jest tylko szczęśliwym snem bez końca, nieprawdaż?...

— Nie rób błazna! — przerwała Teresa.

— Nic na to nie poradzę, jestem sobą — zażartował Messner.

— Tak, ale jednocześnie możnaby być i grzeczniejszym i bardziej praktycznym — sarknął Womble. — Jedno tylko chcielibyśmy wiedzieć: co pan zamierza?

Messner zrobił dobrze udany gest bezradności.

— Doprawdy nie wiem. Jest to jedna z tych sytuacji bez wyjścia, na które nie można nic poradzić...

— We troje nie możemy spędzić nocy w tej izbie — Messner skinął głową.

— Ktoś jeden zatem musi się usunąć.

— Niewątpliwie — zgodził się Messner. — Jeżeli trzy ciała nie mogą jednocześnie zająć danej przestrzeni, jedno z nich musi być usunięte.

— Tym trzecim jesteś pan — oświadczył Womble ponuro. — Do następnego postoju jest dziesięć mil drogi i możesz je pan zrobić z łatwością.

— Oto pierwszy błąd w pańskim rozumowaniu. Dlaczegoż to ja mam być tym trzecim? Ja pierwszy znalazłem tę chatę.

— Ale Tess nie może jechać — tłumaczył Womble — płuca jej są już przeziębione.

— Zgadzam się z panem. To też ona w każdym razie pozostać musi.

— Ja też to tylko powiadam — zakończył Womble. Messner odchrząknął.

— Lecz pańskie płuca mają się dobrze, nieprawdaż?

— Tak, ale cóż stąd?

Messner odchrząknął znowu i począł mówić przerywanym głosem, akcentując każde słowo:

— Istotnie nic. Z wyjątkiem chyba tego, co wynika z własnych pana rozumowań, a mianowicie, że nic nie stoi na przeszkodzie, abyś pan właśnie przespacerował się owe dziesięć mil po mrozie. Może pan uczynić to z równą łatwością.

Womble z nagle podejrzaniem spojrział na Teresę i schwytał w jej oczach jakby błysk radosnego zdziwienia.

— Cóż? — rzucił ku niej.

Zawahała się. Ciemna fala gniewu zmąciła jego twarz.

Skoczył ku Messnerowi.

— Dość tego, nie może pan tu zostać!

— Przeciwnie, mogę.

— Nie pozwolę na to!

Womble sprężył ramiona.

— Zostanę pomimo to.

— Wyrzucę za drzwi!

— Wrócę.

Womble umilkł na chwilę, ażeby pohamować się i na-

myślić, poczem przemówił z wolna, głuchym, zdławionym głosem:

— Patrz tu, Messner. Jeśli się nie usuniesz — poznasz moje pięści. Tu nie Kalifornja. Stłukę cię na kwaśne jabłko.

Messner wzruszył ramionami.

— Jeśli pan spróbuje, zwołam okolicznych kopaczy i zobaczę, jak będziesz wisiał na pierwszym drzewie. Istotnie, tu nie Kalifornja. Prosty lud, ci kopacze. Wystarczy pokazać im ślady pobicia, opowiedzieć co należy i przedstawić prawo do własnej żony.

Kobieta chciała się wmieszać, ale Womble odwrócił się ku niej ostro.

— Nie wtrącać mi się! — krzyknął.

Dziwnym kontrastem zabrzmiały słowa Messnera:

— Proszę cię, Tereso, nie przeszkadzaj.

Ze wzburzenia i gniewu chwycił ją suchy, ostry kaszel i z rozczzerwioną twarzą, z ręką cisnącą serce, czekała, aż minie paroksyzm.

Womble chmurnie popatrzał na nią.

— Coś trzeba przedsięwziąć. Płuca jej nie zniosą mrozu. Nie może podróżować, dopóki mróz się nie zmniejszy. Ja zaś nie mogę jej tak zostawić.

Messner zająknął się, chrząknął raz i drugi, jakby chcąc się usprawiedliwić i wyrzekł nareszcie:

— Potrzebuję pieniędzy.

Niezmierna pogarda odmalowała się na twarzy Womble'a.

Wtedy z wolna, rozważnie, pomiędzy niego a zbrodnię, rzucił Messner samego siebie.

— Macie duży worek złota — ciągnął Messner; — widziałem, jak zdejmowaliście go z sani.

— Ile pan chcesz? — przeciął Womble z obrzydzeniem.

— Ocenilem ten worek na oko i śmiało powiedzieć mogę, że waży około dwudziestu funtów. Cóż pan na to, gdyby tak, powiedzmy, cztery tysiące dolarów?

— Ależ to wszystko, co zdobyłem, człowieku! — oburzył się Womble.

— O, nie. Zdobyłeś pan również Teresę — odparł tamten pocieszająco. — Wszak warta jest tyle? Niewątpliwie cena odpowiednia.

— Dobrze już. — Womble skoczył przez izbę do worka ze złotem. — Tylko, aby prędszej — płazie!

— Pardon, tym razem pan się myli. Czyż ten, kto się przekupić daje, nie wart jest tego, kto przekupuje? I nie powinien pan pocieszać się złudzeniem o wyższości swej etyki!

— Do diabła tam z etyką! — wybuchnął tamten. — Chodź pan tu i patrz, jak ważę. Mogę przecie oszukać.

A kobieta, rzucona na ławie, bezsilna z gniewu i obrazy, widziała samą siebie, ważoną złotym piaskiem, na szalkach rozstawionych w kącie. Szalki były małe, ważono więc kilkakrotnie, a Messner z całą starannością za każdym razem sprawdzał wagę.

— Za dużo tu srebra — zauważył, biorąc woreczek; — nie przypuszczam, aby w uncji było pełne sześćnaście dolarów. Cały zysk po pańskiej stronie, Womble.

Z przejściem zabrał worek, jakby oceniając całą jego drogocenną wartość i powoli zaniósł do sani. Powró-

ciwszy, zebrał swoje garnczki i zapasy, zwinął pościel. Kiedy sanie zostały uwiązane i psy zaprzężone, Messner wrócił do izby po rękawiczki.

— Bądź zdrowa, Tess — powiedział, stojąc w otwartych drzwiach.

Odwróciła się ku niemu, chcąc wydrzeć ze siebie słowo, które zmieściłoby zdołało całe szaleństwo jej gniewu, całą rozjątrzoną jej wściekłość...

— Bądź zdrowa, Tess — powtórzył grzecznie.

— Zwierzę! — wykrztusiła z wysiłkiem.

Odwróciła się, chwiejnie podeszła do ławy i, padając na nią twarzą wdół, zalkała.

— Wy, zwierzęta! Wy, zwierzęta!

John Messner cicho przymknął za sobą drzwi. A kiedy pognął psy, spojrzął raz jeszcze na chatę z wyrazem wielkiej ulgi. Koło przerębla zatrzymał sanki. Wyjąwszy z nich worek ze złotem, niósł go ku wodzie, pociągniętej już lekką, lodową skorupą. Przełamał ją i powoli wsympywać zaczął zawartość worka do wody. Rzeka była tu płytka i o dwie stopy pod powierzchnią widać było smugę złotego piasku, lśniącego zleka w świetle gasnącego dnia. Na ten widok Messner splunął wprost w przerębel.

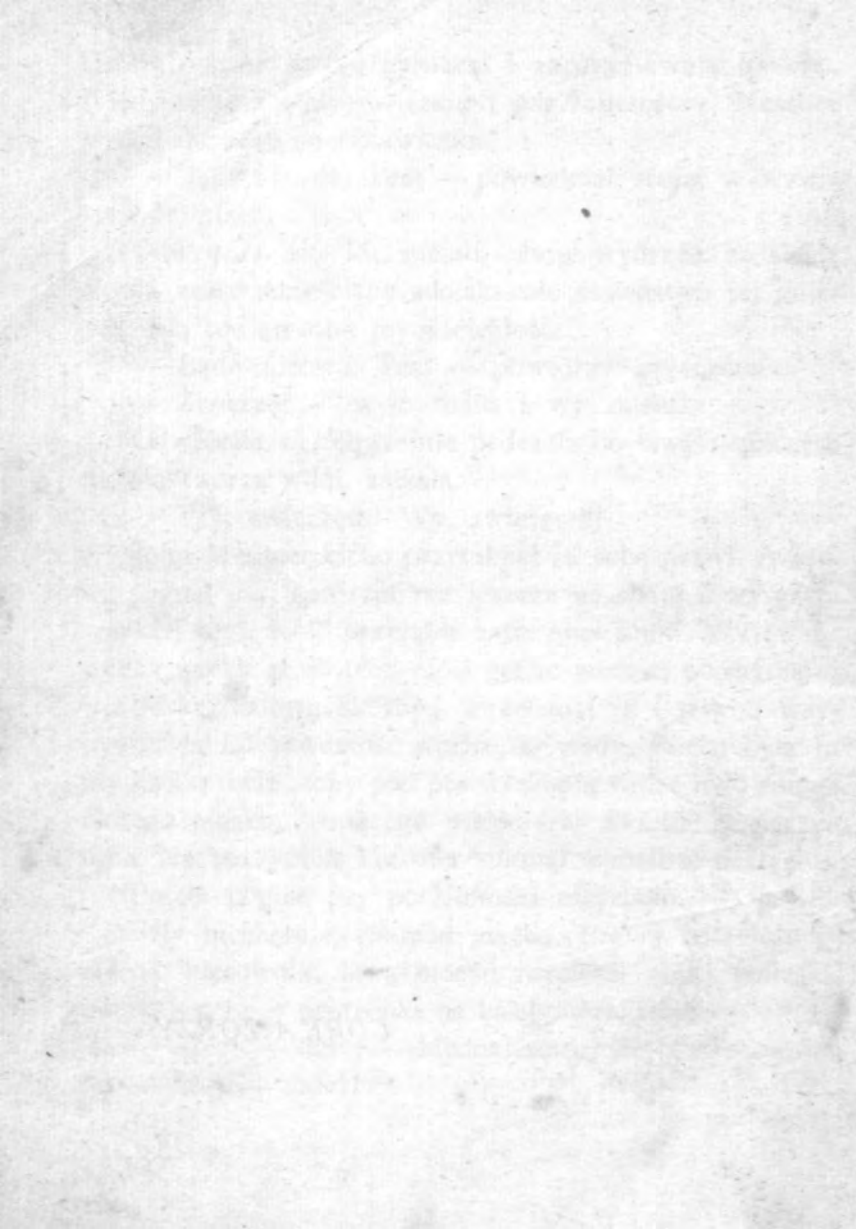
Potem pognął psy po Yukońskim szlaku.

Szły niechętnie, skamłąc zcicha. Prawą ręką schwywszy kierownik, lewą mocno rozcierał nos i policzki, potykając się o postronki na każdym zakręcie.

— Heej — dalej — biedne, zmęczone bestje — wołał — heej — dalej!



CÓRKA ZORZY



— Wy — wy — leniuch i niezdara, chcielibyście mnie za żonę?! Nic z tego. Nigdy, ale to nigdy, niedołęga nie nazwie mnie swoją!

Tak mówiła Joy Molineau do Jacka Harringtona. Poprzedniego dnia mówiła to samo, tylko po francusku, biednemu Louis Savoy.

— Proszę mnie wysłuchać, Joy!

— Nie! Nie mam już nic do słuchania. Jest źle. Ciągłe przesiadujecie u mnie, zamiast pracować. Ciekawam, jak utrzymalibyście rodzinę? Złota nie macie wcale, a drudzy zdążyli się już wzbogacić.

— To doprawdy niesprawiedliwie, Joy. Ja również niemało pracuję. Dnia niema, żebym nie kopał to tu, to tam. Przecie dopiero niedawno wróciłem z podróży i psy moje jeszcze nie odpoczęły. Pracuję nie mniej od innych, ale ot, nie mam jakoś szczęścia. Innym się powodzi, dokopują się złota, tylko mnie licho urzekło.

— Ach, nie o to idzie. Przypomnijcie sobie tego człowieka... no, jakże mu tam? tego, tego Mack Coormack'a, który wraz z żoną przywędrował do Klondike i znalazł tyle złota... Dlaczegoście się nie ruszyli tym razem z innymi? Inni poszli i są już bogaci!

— Jakto, czyż nie wiecie, że wtedy właśnie pracowa-

łem nad Tananą i nie miałem pojęcia o żadnym Eldorado ani o Bonanzie? A potem już było za późno...

— Eh, to tylko wymówka. Wogóle lubicie się wykręcać.

— Co takiego?

— Powiadam, że lubicie się wykręcać. Ot, na przykład i teraz. Taki doskonały kawałek jest na Eldorado. Zjawił się tam jakiś człowiek, ponabijał kółków granicznych i poszedł. Nikt nie wie, co się z nim stało. W przeciągu sześćdziesięciu dni może jeszcze upomnieć się o swoje prawa. Potem popędzi tam cała zgraja, żeby zdobyć parcelę i dokument. Polecą wszyscy, jak wicher. A kto zdąży — będzie bogaty. I jego rodzina również...

Jack Harrington ukrył nagle zainteresowanie i spytał obójtnie:

— Kiedyż termin?

— Mówiłam o tem właśnie z Louis Savoy — ciągnęła Joy, nie zwracając najmniejszej uwagi na pytanie. — I przypuszczam, że nie pokpi sprawy.

— Tam do licha!

— Tak, Louis Savoy przyszedł i zapytał mnie: Joy, jestem silny i wytrzymały, a moje psy ciągną dobrze. Spróbuję. A jeśli wygram — będziesz moja? Odpowiedziałam mu...

— Cóż?

— Odpowiedziałam mu: Jeśli Louis Savoy zwycięży, niewątpliwie zostanę jego żoną.

— Jeśli zaś nie wygra?

— Hm, jeśli nie wygra — jakby to powiedzieć — nie będzie ojcem moich dzieci.

— A jeśli — ja wygram?

— Wy! Ha, ha, ha, nie wygracie nigdy w życiu!...

Roześmiała się. Śmiech ten drażnił i palił Jacka, musiał jednak przyznać, że nawet jej zły śmiech czarownie pieści ucho.

Jack Harrington nie był wyjątkiem i oddawna przywykł do takiego traktowania ze strony Joy. Tak samo dręczyła wszystkich swoich wielbicieli. Zato była prześliczna! Jak kwiat różowy rozchyłały się jej wargi, ostre pocałowania mrozu cudownie rumieniły policzki, a oczy paliły się niezrównanym, uroczym ogniem. Wokoło niej wił się kosmaty pierścień psów, a przodownik zaprzęgu, Wilczy Kieł, podszedł najbliżej i oparł pysk na kolanach pani.

— A jeśli ja wygram? — uparcie powtórzył Harrington.

Joy Molineau przeniosła spojrzenie z psa na człowieka i z powrotem.

— Cóż powiesz na to, piesku? Jeśli Jack Harrington będzie silny i zwycięży — wyjdziemy za niego za mąż? Jakież jest zdanie Wilczego Kła?

Pies nasrożył się i zaszczekał.

— Ależ zimno! — rzuciła nagle Joy z iście kobiecą zmiennością.

Wstała i zaczęła poprawiać uprząż. Jack Harrington nie ruszył się i bezmyślnie utkwił w niej oczy. Od początku znajomości czuł, że zachowuje się głupio w obecności tej dziewczyny. Zato niewątpliwie stawał się coraz cierpliwszy.

— No, Wilczy Kiel, naprzód! — krzyknęła Joy Molineau, wskakując na saneczki. Psy ruszyły i pomknęły w kierunku Forty Mile.

Harrington nie ruszył się z miejsca, choć z ukosa spoglądał za dziewczyną. Tam, gdzie droga rozdwajała się i biegła na Forty Cudahy, Joy Molineau na chwilę zatrzymała psy i odwróciła głowę.

— Hej! Niedołęgo! Wilczy Kiel pozwala, jeśli wygrasz...

W kilka dni później całe Forty Mile wiedziało o zapasach, mających się odbyć między Louis Savoy a Jackiem Harringtonem. Stawiano zakłady, zgadywano namiętnie, kto zwycięży i na kogo padnie wybór Joy Molineau.

Całe miasteczko podzieliło się jak gdyby na dwa obozy, a każdy trzymał stronę swego wybrańca. Rozpoczęto walki o lepsze psy, które miały przecie zdecydować o wygranej panów. Współzawodnicy ubiegali się bowiem nietylko o rękę wybranej kobiety, ale i o posiadanie kopalni, ocenianej na milion dolarów.

Gdy tylko rozeszła się pogłoska o znalezionych przez Mack Cormicka pokładach złota, cała okolica ruszyła natychmiast w górę Yukonu. Nieliczne wyjątki, do których należeli właśnie Louis Savoy i Jack Harrington, pracowały wtedy na zachodzie.

Jelenie pastwiska i małe strumyki rozchwytywane były bezładnie i przypadkowo. W taki właśnie przypadkowy sposób odkryto najbogatsze pokłady złota — Eldorado.

Pewnego razu, niejaki Olaf Nelson odmierzył sobie pięćset stóp, postawił odpowiednie znaki, powbił kolki — i znikł.

Najbliższe biuro meldunkowe znajdowało się wtedy w Forty Cudahy, leżącym naprzeciwko Forty Mile po drugiej stronie rzeki. Wraz z pojawieniem się legend o Eldorado, stało się ogólnie wiadome, że Olaf Nelson wziął kawał ziemi nad dolnym Yukonem. Właściciela na miejscu nie było i nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje.

Oto dlaczego poszukiwacze złota z nieukrywaną chciwością spoglądali na złotonośny kawałek, należący do zaginionego bez wieści szczęśliwca. Ale sześćdziesięciodniowy termin nie minął jeszcze i nikt nie miał prawa sięgać po własność Olafa Nelsona. Cała okolica wiedziała o tajemniczym jego zniknięciu, a kilkudziesięciu silnych ludzi robiło już przygotowania, żeby w dzień terminu porwać się z miejsca i pomknąć w kierunku Forty Cudahy.

Wogóle jednak mieszkańcy Forty Mile zachowywali spokój. Miasteczko natężyło całą swą energję, żeby zaopatrzyć Louis Savoy i Jacka Harringtona we wszystko potrzebne. Od parceli do biura meldunkowego było sto mil, więc wszyscy twierdzili zgodnie, że zapasnicy powinni cztery razy zmienić psy. Decydujące znaczenie posiadała, rzecz prosta, ostatnia zmiana, to też obaj wszelkimi środkami starali się o zapewnienie sobie najtęższego zaprzęgu na ostatnie dwadzieścia pięć mil. Dzięki temu ceny na psy wzrosły niebywale.

Ma się rozumieć, oczy wszystkich zwrócone były na Joy Molineau, nie tylko dlatego, że była ona prawie wy-

łączną przyczyną całej historii, ale i z tego powodu, że posiadała najlepsze psy zaprzęgowe na przestrzeni od Chilcoot aż do morza Beringa. Wilczy Kiel, jako przodownik zaprzęgu, nie miał sobie równego i niewątpliwie posiadanie tego psa przeważałoby każdą szalę. Naturalnie zamęczano Joy prośbami, ona jednak pozostała nie wzruszona i nie chciała rozstawać się z ulubionym zwierzęciem. Współzawodnikom pozostawała więc tylko ta pociecha, że rywal nie dostanie psa również.

Mężczyzna wogóle tak jest stworzony, że w żaden sposób nie potrafi przeniknąć tajemnic dziwnej duszy kobiecej. Dotyczy to zarówno mężczyzn, żyjących bujnem i zdobywczem, jak cichem i domowem życiem. Podobnie w Forty Mile. Mężczyźni zbyt byli prostolinijni, żeby przejrzeć podstępne plany Joy Molineau. Przyznawali zresztą, że nigdy nie udało im się zgłębić do dna zagadkowej natury tej kobiety, co wyrosła pod światłem Zorzy północnej. Ojciec Joy prowadził wielki handel futrami wtedy, kiedy obecni mieszkańcy Forty Mile nie śnili jeszcze o wędrówkach na Północ. Rozumie się, nie miało to najmniejszego wpływu na Joy i nie pozbawiło jej żadnej wyłącznie kobiecej cechy. Mężczyźni potrochu zdawali sobie sprawę, że dziewczyna igra nimi, ale znaczenie i głębokość gry pozostały dla nich tajemnicą. Widzieli tylko część otwartych kart; główny atut Joy Molineau schowała na sam koniec. To też obaj mężczyźni do ostatniej chwili nie stracili przyjemnych złudzeń.

Minął tydzień i przez ten czas większość mieszkańców zdążyła przenieść się na miejsce, skąd wyruszyć

mieli między innymi Jack Harrington i Louis Savoy. Wszyscy najskrupulatniej liczyli czas, gdyż zamierzali przybyć do startu na kilka dni przed terminem, ażeby dać wypoczynek psom i sobie. Po drodze spotykali wielu mieszkańców Dawson, dążących do tegoż celu — do pokładu Olafa Nelsona. Po upływie dwu dni od czasu wyjazdu zapaśników Forty Mile poczęło wysyłać psy na umówione miejsca. Pierwszy zaprząg na siedemdziesiąt pięć, drugi na pięćdziesiąt, trzeci na dwadzieścia pięć. Ostatni dobrany był tak znakomicie, że prawie cała osada spędziła kilka godzin na pięćdziesięciostopniowym¹ mrozie, podziwiając zalety zwierząt. W ostatniej chwili na miejsce zebrania przybyła na psach Joy Molineau. Podeszła spokojnie do Lon Mack Fan'a, pilnującego zaprzęgu Harringtona, lecz wtedy ten niespodzianie przeciął uprzęż Wilczego Kłosa i, zanim dziewczyna zdołała spostrzec, uwiązał go jako przodownika do zaprzęgu Jacka. Potem nie zwlekając ani sekundy, pomknął w kierunku Yukonu.

— Biedaczysko Savoy! — rozległo się na wszystkie strony.

Joy Molineau nie odpowiedziała ani słowa, tylko wyzywająco błysnęła oczyma i — wróciła do domu.

Północ. Koło parceli Olafa Nelsona zebrało się zgórąstu ludzi, owiniętych w futra. Woleli sześćdziesięciostopniowy mróz, niż ciepłą izbę i wygodne posłanie. Niektórzy zaczęli już prace przygotowawcze. Mały oddział kon-

¹ Fahrenheit.

nych żandarmów utrzymywał porządek i spokój, i uważał, żeby wyścig odbył się według norm przepisanych prawem.

Zabroniono wbijania kołków granicznych aż do ostatniej sekundy ostatniego, sześćdziesiątego dnia. Na dalekiej Północy rozkazy posiadają niezwykłą, nadprzyrodzoną władzę. Nieposłusznych bowiem karze kula, nagła jak piorun. Noc była mroźna i jasna. Zorza północna rzbyspywała po niebie drżące, migotliwe barwy. Jakaś potężna dłoń Tytana dźwignęła ponad ziemię nieskończone luki; od horyzontu do zenitu słały się różowe, zimne, jaskrawo rozlewne fale światła, ku gwiazdom zaś ciągnęły szerokie, srebrno-zielone smugi.

Nareszcie żołnierz Królowej, owinięty w niedźwiedzie futra, wystąpił naprzód i podniósł rękę. Zawrzało natychmiast. Poszukiwacze złota gorączkowo podnosili psy, rozplątywali postronki i zaprzęgali sanie. Potem wszyscy, jeden za drugim, z przepisowemi kołkami w ręku, poczęli podchodzić ku oznaczonemu miejscu. Tak dobrze znali ten kawałek ziemi, że mogliby powbijać kołki z zamkniętymi oczyma. Na drugi sygnał zdjęli całą zbyteczną, ciężącą im odzież i natężyli uwagę.

— Ba-a-czność!

Sześćdziesiąt par rąk ściągnęło rękawice i sześćdziesiąt par nóg zaryło się krzepko w skrzypiący śnieg.

— Naprzód!

Współzawodnicy w mgnieniu oka rozbiegli się na wszystkie strony i z nieopisaną szybkością poczęli wbijać kołki i odznaki. Kto skończył, natychmiast wskakiwał na sanie i mknął po zamarzej rzece. Zawrzało na

nowo; sanie najeżdżały na sanie, psy rzuciły się na sąsiednie zaprzęgi, jeżąc sierść i szczerząc kły.

W powietrzu brzmiała nieprzerwana, ogłuszająca wrzawa. Wszyscy rozumieli, że nadeszła ważna, najważniejsza chwila. Każdy miał przyjaciół, którzy starali się mu pomóc. Nareszcie ze skłębionego tłumu wydobywać się poczęły co lepsze zaprzęgi i jeden za drugim znikaly z oczu.

Jack Harrington wiedział z doświadczenia, co się dzieje w tłumie, to też dotychczas czekał spokojnie koło swych sani. Opodal, w równie wyczekującej pozie, stał Louis Savoy, uważnie obserwując rywala, jednego z najlepszych poganiaczy na całej Północy. Obaj ruszyli dopiero wtedy, gdy hałas ucichł dostatecznie. Musieli jechać całe dziesięć mil, żeby dopędzić tych, co wyjechali pierwsi.

Z obu stron drogi ciągnęły się nieskończone śnieżne pola, i gdyby ktokolwiek zechciał wyminąć przeciwnika, zaryłby się w śnieg wraz z psami. Dla uniknięcia tej przyjemności, należało tylko leżeć plackiem na podskakujących sankach i czekać cierpliwie.

Równie monotonna droga wiodła na przestrzeni całych piętnastu mil, od Berany i Klondike, aż do Dawson.

Tam stała w pogotowiu pierwsza zmiana psów, lecz Harrington i Savoy zmienili je o dwie mile bliżej. Wyzyskali w ten sposób ogólny zamęt i wyprzedzili połowę sani. Już na szerokim Yukonie mieli przed sobą niewiele więcej ponad trzydzieści zaprzęgów.

Podniecenie rosło z każdą chwilą.

W miejscu najsilniejszego prądu niedawno dopiero zamarzła woda i cienka lodowa kora, gładka i wyiskrzona, jak posadzka ciągnęła się na przestrzeni całej mili pomiędzy dwoma pasami starego lodu.

Wjechawszy na lód, Harrington ukląkł i, przytrzymując jedną ręką sanie, drugą zapalczywie ciał biczem psy. Każdemu uderzeniu towarzyszyły nieopisane przekleństwa. Zwierzęta, czując pod nogami mocny, gładki lód, pomknęły z całych sił. Mało który z chwilowych mieszkańców Północy tak zręcznie kierował zaprzęgiem. Kiedy Louis Savoy spostrzegł, że Jack go wyprzedza, przyspieszył biegu i dążył już tylko do tego, aby pyski jego psów dotykały tyłu sani Harringtona.

Jack zdecydował nie tracić ani sekundy, i jak tylko tuż pod jego sanie podsunięto świeży zaprząg — z ostrym krzykiem skoczył na nowe i nie przestając ani na chwilę okładać psów batem — mknął dalej.

Zupełnie tak samo postąpił Louis Savoy. W tejże chwili porzucone przez nich zaprzęgi wpadły pod nogi jadących i zwiększyły jeszcze zamęt i zamieszanie.

Na czele tych, których spotkał ciężki zaszczyt torowania drogi, mknął Jack Harrington; tuż za nim nie zwalniając biegu, śpieszył Louis Savoy.

Mróz teżał tymczasem i doszedł już do sześćdziesięciu stopni. Niemożliwem i niebezpiecznem było pozostać bez ruchu. Wiedząc o tem, Harrington i Savoy co pewien czas zeskakiwali z sani i z biczami w ręku mknęli za zaprzęgiem, dopóki się nie rozgrzali. Wtedy znowu wskakiwali na sanki.

W ten sposób, na saniach lub biegiem, przebiegli

drugi i trzeci etap. Pozostali współzawodnicy rozciągnęli się poza nimi na jakie pięć mil w luźny szereg. Niejeden jeszcze próbował dopędzić sanie z Forty Mile, ale wysiłki były daremne. Jeden tylko Louis Savoy mknął tuż za Harringtonem.

Na dwudziestej piątej mili od Forty Mile, do sani Harringtona przysunął się Lon Mack Fane. Jack ujrawszy w zaprzęgu psa Joy Molineau, uwierzył ostatecznie w swe zwycięstwo. Wiedział, że z takim zaprzęgiem ścigać się niesposób. Niema równego mu na całej Północy! Louis Savoy spostrzegł również, że stoi tu Wilczy Kiel i nagle zrozumiał, że przegrał. Wtedy przeklinać począł samego siebie i podstępną kobietę, Joy Molineau.

Ale pomimo wszystko — nie zanieczywał sprawy. Tuż przed nim, bryzgając śnieżnym pyłem, jak skrami, mknął Jack Harrington. Savoy zdecydował nie ustąpić i walczyć do końca o szczęście. Zmrok już się przerzedzał i na południo-wschodzie świtało. A rywale mknęli i mknęli, nie przestając się dziwić czynowi kobiety, Joy Molineau.

Całe Forty Mile wstało o świcie, zrzuciło z siebie ciepłe kołdry i wyległo na drogę, skąd widać było Yukon na przestrzeni kilku mil, aż do pierwszego zakrętu. W pewnej odległości od innych stała Joy Molineau; przestrzeń pomiędzy nią, a lśniącym torem drogi, była zupełnie wolna. Mieszkańcy Forty Mile rozsiedli się na śniegu, otoczywszy półkolem płonące ognisko. Dobijano cstatnie wysokie zakłady, stawiano złoty piasek i psy. Najwięcej zwolenników miał Wilczy Kiel.

— Jada! — pisnął nagle chłopak-krajowiec, siedzący na wierzchołku sosny.

Po rozłożystej piersi Yukonu, po białej płachcie śniegu, sunęła mała ciemna plama. Za nią druga. W miarę, jak obie rosły, w znacznej odległości zarysowywać się poczęły następne. Po chwili rozpoznać już było można zarys sani i psów, nareszcie ludzi, leżących plackiem tuż nad płozami.

— Wilczy Kieł idzie pierwszy — szepnął oficer ze straży, zwracając się do Joy.

Uśmiechnęła się tylko.

— Dziesięć przeciw jednemu za Harringtonem! — krzyknął jeden z miejscowych „złotych króli“, wyjmując z kieszeni worek ze złotym piaskiem.

— Tylko tyle? — rzuciła Joy.

Oficer pokiwał głową.

— Ma pan przy sobie trochę złotego piasku? — zwróciła się doń Joy.

Pokazał jej worek.

— Będzie ze dwieście? Dobrze. W takim razie przyjmuję zakład.

Wciąż tylko uśmiechała się zagadkowo. Oficer nie odrywał oczu od jadących i coś rozważał.

Harrington i Savoy kłęczeli na sankach i niemilosierdzie cięli psy. Harrington był pierwszy.

— Dziesięć przeciw jednemu za Harringtonem! — krzyknął po raz drugi bogacz, wyzywająco potrząsając workiem.

— Przyjmuję zakład — oświadczyła spokojnie Joy.

Oficer zrezygnował i wzruszył ramionami, jakby

chcąc wyrazić, że słucha nie swego rozsądku, ale jej czarui.

Przerwano zakłady i zaległa grobowa cisza.

Jak łódź na morzu, jak łódź pod wiatrem surowym, kołysały się i mknęły sanki. Louis Savoy wyglądał bardzo ponuro, pomimo że jego pies przodownik dotykał pyskiem sani Harringtona.

A Jack Harrington leciał z zaciśniętymi zębami, nie patrząc w żadną stronę. Psy biegły miarowo i mocno, a wspaniały Wilczy Kiel, wyciągnąwszy się z całych sił, głowę spuściwszy do ziemi, nic nie widząc i tylko czasem pomrukując zcicha — znakomicie prowadził zaprząg.

Wstrzymano oddechy. W niezmiernej ciszy od czasu do czasu skrzypnęły płozy, albo świsnął bat.

Wtem rozciął powietrze ostry krzyk Joy Molineau:
— Ej! Wilczy Kiel! Wilczy Kiel! Tu!

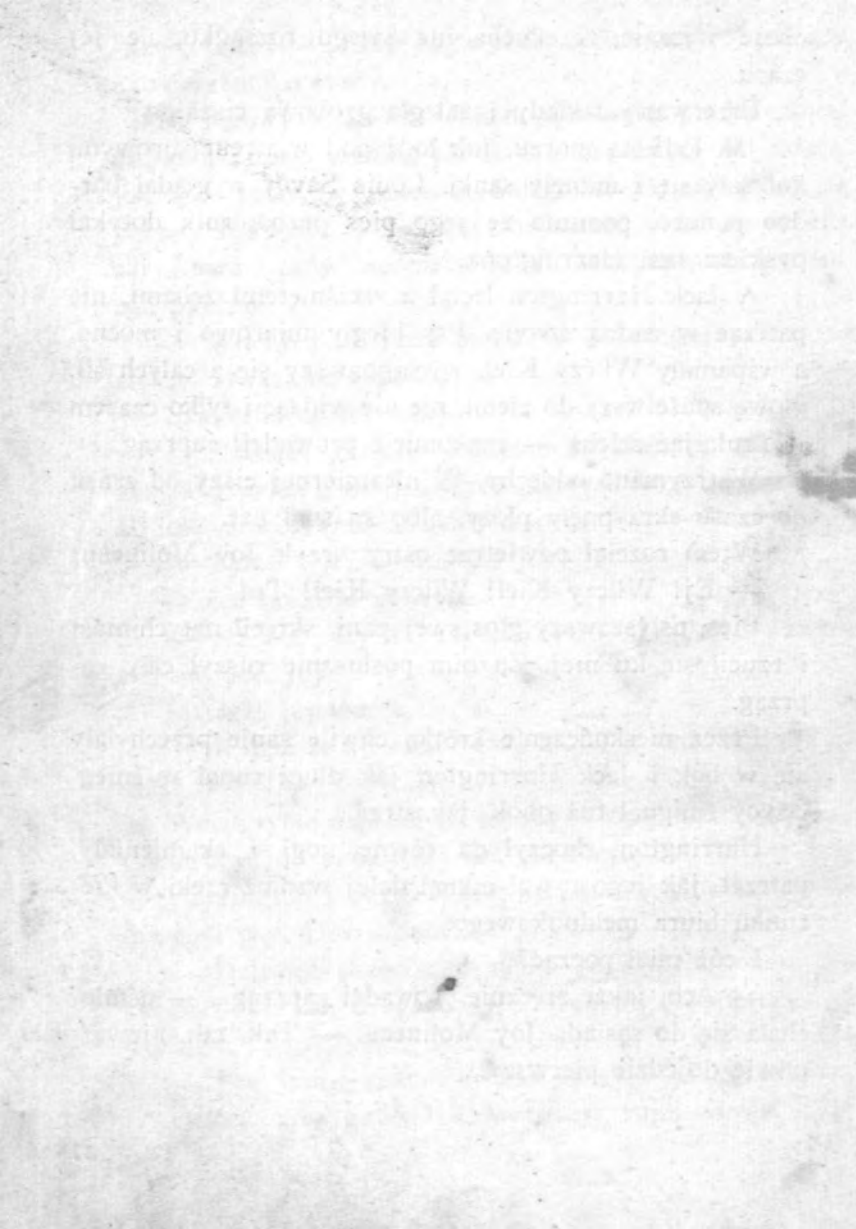
Pies, usłyszawszy głos swej pani, skrzył natychmiast i rzucił się ku niej. Za nim posłusznie ruszył cały zaprząg.

Przez nieskończenie krótką chwilę sanie przechylały się w bok i Jack Harrington jak długi runął w śnieg Savoy śmignął tuż obok, jak strzała.

Harrington skoczył na równe nogi i, skamieniały, patrzył, jak jego rywal mknął dalej wzdłuż rzeki w kierunku biura meldunkowego.

I cóż miał począć?

— Ach, jakże zręcznie prowadzi zaprząg... — uśmiechała się do sąsiada Joy Molineau. — Tak, tak, niewątpliwie dojedzie pierwszy...



SZLAK ŻŁUDNYCH SŁOŃC



Charley z Sitki kurzył fajeczkę i przyglądał się uważnie ilustracjom z „Police Gazette“, wiszącym na ścianach. Już pół godziny studjował je z przejęciem — ja zaś przez całe pół godziny obserwowałem go bacznie. Coś bowiem stawało się w tej jego głowie i, do licha, niewątpliwie warte było poznania. Charley widział niejedno i niejedno przeżyć; dokazał też tej wielkiej sztuki, jaką dla Indjanina jest odwrócenie się od własnego plemienia i przedzierzgnięcie w białego człowieka nawet w myślach. Przyszedł oto, jak sam powiedział, usiadł między nami przy ognisku i stał się jednym z nas. Nie uczył się nigdy czytać, ani pisać, niemniej jednak słownik jego był nader zasobny i równie godną podziwu była doskonałość, z jaką przyswoił sobie zapatrywania białego człowieka i cały jego stosunek do świata.

Dobrnęliśmy do tej porzuconej chaty po długim dniu ciężkiej podróży. Psy były nakarmione, naczynia po wyczyszczeniu zmyte, posłanie przygotowane — teraz zaś cieszyliśmy się ową najmiłszą godziną, która codziennie — tecz tylko raz dziennie — przychodzi podczas podróży po Alasce, godziną, kiedy, prócz dymu wieczornej fajeczki, nic już nie dzieli zmęczonego ciała od spoczynku.

Jakiś dawny mieszkaniec chaty udekorował jej niskie ściany obrazkami, wyciętymi z gazet, i one to właśnie przykuwały uwagę Charley'a z Sitki od chwili naszego przyjazdu, to jest od dwu godzin.

Przyglądał się uważnie, przechodząc do każdego kolejno i mogłem obserwować, jak myśli jego obejmowało zwolna zwątpienie i niepewność.

— Cóż? — przerwałem nareszcie milczenie.

Wyjął fajkę z ust i odrzekł poprostu:

— Nie rozumiem.

Pociągnął raz jeszcze i znów wyjął fajkę, wskazując nią ilustracje z „Police Gazette“.

— Cóż naprzykład ma znaczyć ten obraz? Nie rozumiem.

Spojrzałem: człowiek o złej, zawziętej twarzy, z ręką dramatycznie przyciśniętą do serca, padał nawznak na podłogę. Naprzeciw niego drugi, o twarzy strąconego Anioła, a zarazem Adonisa, zaciskał w dłoni dymiący jeszcze rewolwer.

— Poprostu człowiek zabija człowieka — odpowiedziałem, czując jednocześnie całą nicłość tego objaśnienia

— Dlaczego? — pytał Charley.

— Nie wiem — wyznałem.

— Ten obraz jest tylko zakończeniem, a gdzie po początek? — nastawał dalej.

— To jest właśnie życie — odparłem.

— Życie ma początek — zaoponował.

Umilkłem na chwilę, bo spojrzenie jego powędrowało w kierunku innego obrazu, reprodukcji „Ledy i łąbiedzia“.

— Ot, ten obraz naprzykład — zaczął Charley — nie ma wcale początku. Nie ma też końca. — Nie, nie rozumiem obrazów.

— Spójrz na to jeszcze — wskazałem na przeciwną ścianę. — Coś przecie znaczyć musi. Powiedz, cóż znaczy dla ciebie?

Przyglądał się uważnie długą chwilę.

— Dziewczynka jest chora — powiedział nareszcie. — Oto jest doktor. Czuwał całą noc, bo oliwy zabrakło w lampie, a pierwsze światło poranku wciska się przez okiennice. Dziewczynka może umrzeć. Dlatego też doktor jest taki ponury. A oto matka... Tak, choroba jest ciężka, bo matka oparła głowę o stół i płacze.

— Skąd wiesz, że płacze? — przerwałem — nie widzisz przecie jej twarzy, może tylko śpi!

Charley spojrzał na mnie z nagłym zdziwieniem, a potem znów odwrócił się ku obrazowi. Widać było, że nie przemyślał swego wrażenia.

— Może śpi — powtórzył, poczem przyjrzał się bliżej. — Nie, nie śpi. Ramiona wskazują, że nie śpi. Widywałem ramiona płaczącej kobiety. Ta matka płacze; choroba jest bardzo ciężka.

— Widzisz — rozumiesz jednak obrazy!

Potrząsnął głową i zapytał:

— Czy mała dziewczynka musi umrzeć?

Zamilkłem z kolei.

— Czy umrze? — nastawał. — Jesteście przecie malarzem, może wiecie?

— Nie, nie wiem — wyznałem.

— A więc — to nie jest życie — zdecydował Char-

ley; — w życiu dziewczynka umrze lub wyzdrowieje. Coś przecie stanie się w życiu; Na obrazku nic się nie staje — nie, nie rozumiem obrazów.

Charley zalterowany był mocno. Chciał bowiem rozumieć wszystko, co rozumiał biały człowiek, aż tu nagle — wpadł. Poczulem wyzwanie w jego postawie. Upokarzała go konieczność pytania mnie o treść obrazów. Posiadał zresztą dar niezwyklej wyobraźni; wiedziałem, że potrafi wyobrazić sobie wszystko, co zechce. Widywał przecież obrazy i czuł je. A oto teraz nie rozumiał obrazu. widzianego oczyma obcego człowieka i wyrażonego przezeń barwą i kształtem na płótnie.

— Obrazy — to strzępki życia — zacząłem. — Malujemy je tak, jak widzimy. Naprzykład, Charley, jedziesz sobie drogą. Noc. Widzisz chatę. W oknie światło. Spoglądasz w to okno przez sekundę, dwie sekundy, spostrzegasz cośkolwiek i jedziesz dalej. Może widziałeś człowieka, piszącego list. Widziałeś coś, bez początku i bez końca. Nic się nie staje. Widziałeś więc strzępek życia. Przypominasz to sobie później. Zostaje to jak obraz w twojej pamięci; okno jest ramą obrazu.

Spostrzegłem jego zainteresowanie i wiedziałem, że właśnie zajrzał w jasne okno i zobaczył człowieka, piszącego list.

— Prawda. Znam jeden obraz, który namalowaliście kiedyś i który rozumiem — odrzekł. — To jest prawdziwy obraz! Znaczy on wiele. Jest tam wasza izba w Dawson. Jest stół do kart. Kilku grających ludzi. Wielka gra idzie! Nikt nie ogranicza stawek...

— Skąd wiesz, że stawki są nieograniczone? —

przerwałem nagle, gdyż teraz właśnie pracę moją ocenić miał bezstronny sędzia, znający samo życie tylko, prawdziwy mistrz realizmu. Przytem byłem bardzo dumny z tej właśnie pracy. Nazwałem ją „Ostatnia stawka” i uważałem za jedną z najlepszych swych rzeczy.

— Niema złota na stole — objaśniał po swojemu Charley. — Ludzie grają znaczkami. To znaczy, że granica stawek jest bardzo daleko. Jeden gra żółtymi markami — może żółta marka warta jest tysiąc dolarów, może trzy tysiące. Inny gra czerwonymi. Kto wie? Może one warte są pięćset tysięcy dolarów, może tylko tysiąc. Gra jest bardzo gruba. Każdy stawia wysoko, granicy niema. Skąd ja to wiem? Gracza zrobiliście przecie z twarzą aż ciepłą od krwi. (Jakżeż rad byłem!). A ten patrzący, cały wychylony naprzód na krześle! Dlaczego wychylony naprzód? Dlaczego twarz jego nie drgnie? Dlaczego błyszczą oczy? Dlaczego twarz gracza jest ciepła od krwi? Dlaczego wszyscy milczą? I człowiek z żółtymi markami? I ten z białymi? I ten z czerwonymi? Dlaczego nikt nic nie mówi? — Dlatego, że pieniędzy jest dużo... Dlatego, że — ostatnia stawka.

— Skąd wiesz, że ostatnia? — wykrzyknąłem.

— Bo król zakryty — siódemka odkryta — odrzekł. — Już wszystkie karty poszły, nikt nie czeka następnych. Każdy ma tylko jedną myśl: zrzucić króla — wygrać siódemkę. Może bank przegra dwadzieścia tysięcy dolarów — może wygra. Tak, ten obraz rozumiem.

— A przecie nie znasz końca! — zawołałem z triumfem. — To jest ostatnia stawka, ale karty jeszcze zakryte. I na obrazku pozostaną zakryte nazawsze. Na obraz-

ku nigdy nie będą otwarte. Nikt się nie dowie, kto wygrał, a kto przegrał. Ludzie będą siedzieli tam ciągle i nigdy nie przemówią. Jeden pozostanie tak wychylony naprzód, a twarz drugiego będzie zawsze zaczerwieniona od wezbranej fali krwi.

— To dziwne — zawsze będą tak siedzieli, zawsze. I karty nie zostaną nigdy odwrócone...

— Tak. To jest obraz — powiedziałem. — To jest życie. Widywałeś sam podobne rzeczy.

Patrzył na mnie długo i coś rozważał, nareszcie odrzekł bardzo powoli:

— Powiadacie, że niema tu końca, że nikt nigdy końca się nie dowie, a jednak to jest prawda. Widziałem takie rzeczy. Tak, to jest życie.

Długo w milczeniu pociągał fajeczkę, ważąc myśli białych ludzi i sprawdzając je z faktami życia. Kiwał głową, pomrukując zcicha. Potem strzepnął popiół z fajki, napełnił ją starannie i po chwili namysłu, zapalił znowu.

— Widziałem dużo żywych obrazów własnymi oczyma — zaczął. — Patrzyłem na nie, jak przez okno na człowieka, piszącego list. Widziałem wiele kawałków życia — bez początku, bez końca i bez związku.

Nagłym ruchem zwrócił się ku mnie i popatrzał przeciągle wielkimi oczami, pełnymi zamyślenia.

— Posłuchajcie, jesteście przecie malarzem. Jakbyście też namalowali coś, co widziałem dawno, obraz bez początku, obraz, którego końca nie rozumiem, strzępek życia ze światłem zorzy północnej i w ramach śnieżnych pól Alaski.

— Szerokie tło... — mruknąłem.

Ale on nie zwrócił uwagi, bo obraz, który miał w myśli, już przed jego oczami płonął.

— Moznaby rozmaicie nazwać ten obraz — zaczął. — Ale że dużo w nim było fałszywych słońc północnych (znacie zjawisko złudnych słońc w tych stronach?), więc przyszło mi na myśl nazwać go „Szlakiem złudnych słońc“. Było to dawno, siedem lat temu, przy końcu 97 roku. Wtedy zobaczyłem tę kobietę po raz pierwszy. Miałem podówczas łódkę na jeziorze Linderman, doskonała łódeczka z Peterborough. Jechałem przez Chilcoot z dwoma tysiącami listów do Dawson. (Byłem pocztyljonem). W tej porze roku każdy śpieszy do Klondike. Mnóstwo ludzi wyrusza, rąbie drzewo i buduje łódki. Już ostatnia woda, śnieg w powietrzu, śnieg na ziemi, lód na jeziorze. Z każdym dniem więcej wody, więcej śniegu. Może jeszcze dzień, może trzy, może sześć dni — potem rzeka zamarznie, wody już nie będzie, wszędzie lód, każdy powędruje piechotą do Dawson sześćset mil, podróż długa. Łódka zaś biegnie szybko, każdy chce się do niej dostać. Każdy mówi: Charley, dwieście dolarów, weź mnie ze sobą; Charley trzysta dolarów, czterysta dolarów; odpowiadam nie, wciąż nie, wożę tylko listy.

Nad ranem docieram do jeziora Linderman. Całą noc jechałem i jestem bardzo zmęczony. Gotuję sobie śniadanie, jem, potem kładę się na brzegu i śpię trzy godziny. Budzę się. Jest dziesiąta. Śnieg pada. Wietrzno. Wiatr silny, pomyślny.

Tuż koło mnie siedzi na śniegu kobieta. Biała ko-

bieta. Jest bardzo ładna i zupełnie młoda. Ma może lat dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Patrzy na mnie. Ja patrzę na nią. Widzę odrazu, że to jakaś dobra kobieta i że jest bardzo zmęczona.

— Wyście Charley z Sitki? — pyta.

Wstaję prędko i zwijam kołdry, żeby nie przemokły od śniegu.

— Jadę do Dawson — powiada, — jadę w waszej łódce — ile?

Nie życzę sobie nikogo w mojej łódce, ale ponieważ nie lubię wręcz odmawiać, więc powiadam: „Tysiąc dolarów“. Powiedziałem to na żarty. Teraz już kobieta nie pojedzie ze mną. Ale lepiej odpowiedzieć tak, niż odmówić. Patrzy na mnie ostro i pyta: „Kiedy ruszacie?“

— Zaraz — odpowiadam. Ona na to: „Dobrze“.

Zgadza się na tysiąc dolarów! Cóż miałem począć? Nie chciałem jej brać ze sobą, ale powiedziałem przecie wyraźnie, że za tysiąc może jechać. Byłem zupełnie zaskoczony. Więc powiadam: „Proszę mi pokazać te tysiąc dolarów“. I ta kobieta, ta młodziutka kobieta, zupełnie sama na wielkim szlaku tu, w głębokich śniegach, wyjmuje tysiąc dolarów i podaje mi. Patrzę na pieniądze. Patrzę na nią. Cóż mam powiedzieć? Więc mówię: „Moja łódka jest bardzo mała. Nie mam miejsca na żadne pakunki“. Śmieje się. Potem mówi: „Jestem prawdziwa podróżniczka. Oto są moje pakunki“. Potrąca małą paczkę, leżącą na śniegu. Są to dwa futra zawinięte w płótno i zapewne trochę kobiecego ubrania wewnątrz. Podnoszę to. Waży około trzydziestu pięciu funtów. Je-

stę zdziwiony. Ona zaś bierze paczkę i niesie do łódki. „Chodźcie, jedziemy“, — powiada.

Cóż mam począć? Pakuję swoje kołdry i wyruszamy.

W taki to sposób zobaczyłem ową kobietę po raz pierwszy.

Wiatr dmie pomyślny. Podnoszę mały żagiel. Łódka sunie bardzo szybko, śmiga, jak ptak po wysokiej fali. Kobieta jest przerażona. — „Aha, nie trzeba było jechać do Klondike“, mówię. Śmieje się do mnie, śmieje się głośno, ale wiem, że jeszcze się boi. Jest też bardzo zmęczona. Kieruję łódkę ku jezioru Bennet. Woda jest bardzo zła, a kobieta płacze ze strachu. Przecinamy jezioro Bennet, śnieg, wiatr jak szalenięć, ale kobieta jest bardzo zmęczona i zasypia.

Tej nocy obozujemy przy Windy Arm. Kobieta siedzi przy ognisku i je wieczerzę. Patrzą na nią. Jest ładna. Upina włosy. Jest ich dużo i są brązowe, a czasem lśnią jak złoto w świetle ogniska i przy poruszeniach głowy mieniają się na skrętach złotymi skrami. Oczy są brązowe i wielkie — czasem łagodne, jak światło za zasłoną, czasem znów ostre i polyskliwe, jak lód, kiedy go słońce roziskrzy. A gdy się uśmiechnie... jakby to wam powiedzieć?... Gdy się uśmiechnie — wiem — biały człowiek chciałby ją pocałować. Właśnie, kiedy się śmieje. Ręce ma delikatne, jak dziecko, nigdy nie pracowała ciężko. Cała jest delikatna, jak dziecko. Nie jest chuda, jest tylko po dziecinnemu drobna. Ramiona, nogi, wszystko drobne i krągłe. Jej kibić jest wiotka — i kiedy wstaje, chodzi, porusza głową lub ramieniem jest jak... Nie mam słów na to — ale dobrze jest patrzeć na nią...

możnaby powiedzieć, że cała jest, jak piękna łódka; właśnie tak, jak piękna, dobra łódka, sunąca po cichej wodzie, lub tnąca fale, kiedy się wzburzą i zapieniają.

Poco jedzie do Klondike, zupełnie sama, z tyloma pieniędzmi. Nie wiem. Nazajutrz pytam ją o to. Śmieje się i powiada: „Charley, to nie wasza rzecz. Daję wam tysiąc dolarów, wieście mnie do Dawson. Tylko to do was należy“.

Na drugi dzień zapytałem o jej nazwisko. Zaśmiała się, potem odrzekła: „Nazywam się Mary Jones“. Nie znam jej imienia, wiem jednak, że nie nazywa się Mary Jones.

W łódce jest zimno i dlatego kobieta czuje się chwilkami bardzo źle. Niekiedy jednak czuje się dobrze i śpiewa. Głos jej jest jak srebrny dzwonek, a mnie bywa wtedy słodko, jak w kościele. Kiedy ona śpiewa, jestem silny, wiosłuję, jak szalenciec. Ona śmieje się potem i mówi: „Czy myślicie, że dojedziemy do Dawson, zanim rzeka stanie, Charley?“ Czasami siedzi w łódce cicho i myśli o czymś dalekiem; oczy jej wtedy stają się do dna puste. Nie spostrzega ani Charley'a, ani lodu, ani śniegu. Jest daleka. Często bywa tak zamyślona o czemś nięznanem. Wtedy niedobrze jest patrzeć na nią. Twarz jej bywa zła, podobna do twarzy człowieka, który myśli o zabójstwie.

Ostatni dzień drogi był bardzo ciężki. Lód na brzegach, woda gęsta od lodowej krupy. Nie mogę wiosłować. Łódka obmarza. Nie mogę przybić do brzegu. Niebezpieczeństwo jest duże. Cały czas płynie z biegiem Yukonu, wśród gęstej kry. Tej nocy lód trzeszczy i hu-

czy. Nareszcie woda staje, lód staje, wszystko staje. — „Jedźmy do brzegu“ — prosi kobieta. Lecz ja mówię „nie“. Lepiej poczekać. Pomału znów wszystko wyrusza z prądem. Mnóstwo śniegu. Nic nie widać. O jedenastej w nocy wszystko staje. O pierwszej znowu rusza. O trzeciej staje. Łódka pęka, jak skorupka jajka, ale miękko kładzie się na lód i nie tonie. Słyszę szczekanie psów. Czekamy. Śpimy. Nareszcie zaczyna świtać. Śnieg już nie pada. Wszystko zamarzło.

Dawson.

Łódka rozbiła się i stanęła właśnie koło Dawson. Charley z Sitki przybył z dwoma tysiącami listów prawdziwie z ostatnią wodą!

Kobieta najmuje sobie izdebkę na wzgórzu i przez tydzień nie widzę jej wcale. Wreszcie pewnego dnia przychodzi do mnie.

— Charley — powiada — czy nie chcielibyście pracować wyłącznie dla mnie? Poganiać psy, rozkładać obozowiska, podróżować ze mną?

Odpowiadam, że zarobię więcej, przewożąc listy. Ona na to:

— Charley, zapłacę wam więcej.

— Robotnik w kopalni zarabia piętnaście dolarów dziennie — mówię. — To wypada czterysta pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Charley z Sitki nie jest jednak robotnikiem w kopalni.

— Rozumiem — powiada. — Słuchajcie, Charley, dam wam siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Cóż, to dobra cena. Zgadzam się. Kupuję więc dla niej psy i sanie. Jedziemy przez Klondike na Bonanza

i Eldorado, przez Indian River do Sulphur Creek, i do Dominion. Zpowrotem przecinamy Gold Bottom i Too Much Gold i znów wracamy do Dawson. Przez cały ten czas kobieta za czemś się rozgląda, czegoś szuka. Czego? Nie wiem. Jestem zupełnie zbity z tropu.

— Czego szukacie? — pytam. Ona się śmieje. — Czy szukacie złota? Śmieje się znowu, a potem powiada: „To nie wasza rzecz, Charley“. Nie pytałem już więcej nigdy.

Ma niewielki rewolwer, który nosi za paskiem. Od czasu do czasu strzela dla wprawy. Śmieję się. „Czemu się śmiejecie, Charley?“ dziwi się kobieta. A poco się tem bawicie? pytam. To przecie zabawka dla dziecka.

Po powrocie do Dawson prosi, żebym jej kupił porządny rewolwer. Kupuję najlepszy Colt 44. Broń jest ciężka, ale ona nosi ją ciągle za paskiem.

W Dawson zjawia się mężczyzna.

Skąd przybywa — nie wiem. Wiem tylko, że jest „che-cha-quo“, jak wybyście powiedzieli „paniczyk“. Bo ręce ma delikatne, jak kobieta. Nigdy nie pracował ciężko. Cały jest wątyły. Myślałem początkowo, że to jej mąż. Ale nie, jest za młody. Ścielą też dwa postania na popasach. Ma najwyżej dwadzieścia lat. Oczy niebieskie, włosy jasne, małe, jasne wąsy. Nazywa się John Jones. Niektórzy nazywają go Mr. Girwan. Ale i to nie jest jego nazwisko. Nie myślę też, żeby to było nazwisko kobiety, chociaż niektórzy nazywają ją miss Girwan. Przypuszczam, że nikt nie wie naprawdę, jak się nazywają. Pewnej nocy śpię w Dawson. Nagle budzi mnie on. Powiada: „Oporządź psy — wyruszamy“. Ponieważ postano-

wiłem już o nic nie pytać, więc oporzędzam psy i wyruszamy. Jedziemy w dół Yukonu. Noc. Listopad, mróz potężny, 65 stopni¹. Kobieta jest bardzo słaba, mężczyzna również. Mróz kąsa. Oboje męczą się prędko. Zimno doprowadza ich do lez. Powiadam nareszcie, że lepiej odpocząć i ogrzać się przy ognisku. Ale oni chcą jechać dalej. Trzykrotnie radzę im zatrzymać się i odpocząć, ale za każdym razem słyszę jedno tylko: „Naprzód!”

Więc nie odzywam się już wcale. Dni wciąż mijają i wciąż jedziemy. Mężczyzna i kobieta są coraz słabsi. Nieprzyzwyczajeni do mokasynów, ścierają nogi. Potykają się, ślaniają, mówią już szeptem, lecz wciąż jedno tylko: „Naprzód, naprzód, naprzód!”

Są jak szaleńcy. Śpieszą wciąż przed siebie. Dokąd? Nie wiem. Wiem tylko, że śpieszą. POCO? Nie wiem. Wiem tylko, że nie po złoto. Są na nie obojętni, rzucają pieniędzmi na wszystkie strony. Ale ja już o nic nie pytam. Tylko jadę wciąż dalej, dalej, bo jestem silny i dobrze mi płacą.

Dosięgamy Circle City. Niema tu tego, czego szukają.

Nareszcie — myślę — odpoczniemy i odetchną nasze psy.

Gdzietam. Nie zostajemy tu. Nie zostajemy ani na jeden dzień.

— Chodź — powiada kobieta do mężczyzny — jedźmy dalej.

Więc jedziemy. Zostawiamy Yukon poza sobą. Przepędzamy góry w kierunku zachodnim i zjeżdżamy w do-

¹ Fahrenheit.

linę rzeki Tanany. Można tam kupić psy. Ale tego, czego oni szukają, niema w kraju Tanany i odbywamy znów powrotną drogę do Circle City.

Ciężka to droga. Koniec grudnia. Dni krótkie. Mrozy wielkie. Pewnego ranka termometr wskazuje 70° poniżej zera.

— Lepiej byłoby dziś nie jechać — powiadam — mróz silny, chwyci nas suchy kaszel, który może przejść w zapalenie płuc na wiosnę.

Ale oni byli che-cha-quo. Nie znali jeszcze szlaku. Są prawie martwi ze zmęczenia, ale powtarzają: „Jedźmy dalej!”

Więc jedziemy. Mróz kąsa ich płuca, piersi rwie suchy kaszel. Kaszłą aż do lez. Kiedy słonina skwarzy się na ognisku — odbiegają precz i pół godziny kaszłą w śniegu. Odmrażają sobie policzki, skóra czernieje i nieznośnie boli. Wreszcie mężczyzna odmraża sobie wielki palec u ręki, tak bardzo, że koniec jego prawie odpada. A kiedy mróz staje się jeszcze silniejszy, musi dla rozgrzania chować rękę pomiędzy kolana, tuż przy skórze.

Dosiegamy Circle City i nawet ja, Charley z Sitki, jestem zmęczony. Wieczór wigilijny. Tańczę, piję, cieszę się, bo jutro jest Boże Narodzenie i nareszcie odpoczniemy. Ale nie! Jest piąta rano. Świąteczne rano Bożego Narodzenia. Spałem dopiero dwie godziny. Mężczyzna staje koło mego posłania.

— Wstawaj, Charley — powiada — zaprzęgaj psy. Ruszamy!

Mówiłem wam już, że nie pytałem o nic. Płacą mi

siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Jestem ich sługą. Gdyby powiedzieli: Charley, wstawaj, jedziemy do piekła, zaprząglbym psy, palnął z bata i ruszył do piekła. Więc i teraz zaprzęgam psy i jedziemy w dół Yukonu. Dokąd? Nie mówią tego. Mówią wciąż tylko jedno: — Naprzód, naprzód, naprzód!

Zmęczeni są bardzo, bardzo. Przebyli wiele setek mil, ale nie rozumieją podróży po szlaku. Pozatem kaszel ich jest niedobry; jest to ten suchy kaszel, który silnego człowieka doprowadza do wściekłości, słabego do płaczu. Ale jadą dalej. Codziennie. Nigdy nie dają psom wytchnienia. Wciąż kupują nowe. Na każdym postoju, w każdej indyjskiej wiosce zmieniają psy. Pieniądze płyną, jak woda. Czy są szaleni? Czasami zdaje mi się, że siedzi w nich jakiś zły duch i goni wciąż przed siebie, wciąż naprzód. Czegoż szukają nareszcie? Przecież nie złota. Ani razu nie próbowali kopać. Myślę o tym nieraz. I myślę, że człowiek jest tym przedmiotem, którego szukają.

Ale, co za człowiek? Nie widzieliśmy jeszcze żadnego człowieka. Ale oni są jak wilki na tropie zdobyczy. Słabe, zabawne wilki — wilczęta jeszcze, co nie znają Wielkiego Szlaku. Głośno płaczą przez sen nocami. Płaczą i jęczą z bólu i zmęczenia. A w dzień ślaniają się, idąc wzdłuż drogi i cicho płaczą. Wilczęta...

Mijamy fort Yukon. Mijamy fort Hamilton. Mijamy Minook. Styczeń nadszedł i już przemija. Dnie są bardzo krótkie. Dzień wstaje o dziewiątej. O trzeciej zapada noc. Zimno. I nawet ja — Charley — jestem zmęczony. Czyż wiecznie będą szli naprzód po tej drodze

bez końca? Nie wiem. Ale ciągle szukam oczami wzdłuż szlaku tego, za kim oni gonią. Niewielu ludzi widać po drodze. Robimy czasem sto mil, nie spotykamy ani śladu życia. Jest bardzo cicho. Żadnych głosów. Od czasu do czasu pada śnieg, a my jesteśmy, jak wędrujące widma. Czasami bywa jasno i w południe słońce na chwilę wyjrzy ku nam z za południowych wzgórz. Zorza północna pali się na niebie, kilka złudnych słońc tańczy w powietrzu, roziskrzonym od igieł mrozu.

Ja jestem Charley z Sitki, człowiek mocny. Urodziłem się na Wielkiej Drodze i wszystkie dni moje przeżyłem na Szlaku. A jednak zmęczyły mnie te wilczęta. Jestem chudy, jak głodny kot, i cieszę się wieczorami na widok rozłożonego posłania; zrana zaś jestem ociężały i słaby. Rozpoczynamy podróż przed świtem — noc zastaje nas jeszcze w drodze.

A moje wilczęta! Jeśli ja jestem, jak głodny kot, to oni wyglądają, jak koty, co nigdy nie jadły i dawno już pozdychały. Oczy wpadły im głęboko w czaszkę i błyszczą gorączką. Są ponure i ciemne, jak oczy trupów. Policzki zapadły i wyglądają jak pieczary w skale. Skóra szerniała i popękała od ciągłych odmrożeń. Rano mówi kobieta: „Nie mogę wstać. Nie mogę się poruszyć... Dajcie mi umrzeć“. Wtedy mężczyzna staje nad nią: „Wstawaj, jedziemy dalej“. I jadą. Czasami mężczyzna nie może wstać i kobieta mówi mu: „Chodź, jedziemy“. I jedno tylko robią bezustannie: jadą naprzód.

Niekiedy na przystankach dostają jakieś listy. Nie wiem, co jest w tych listach, ale wiem, że stosownie do ich treści obierają kierunek drogi. Razu pewnego jakiś

Indjanin oddał im list. Pogadałem z nim na stronie. Mówił, że list ten wręczył mu jakiś jednooki, który jedzie teraz w dół Yukonu. Oto wszystko. Ale wiem już, że wilczęta jadą za tym człowiekiem.

Luty. Zrobiliśmy tysiąc pięćset mil. Zbliżamy się do morza Beringa, gdzie szaleją burze i zamiecie. Droga jest ciężka. Przyjeżdżamy do Anvig. Nie wiem nic, ale myślę, że dostaną list w Anvig, bo są bardzo podnieceni i wołają: „Prędszej, prędszej, naprzód!“ „Trzeba kupić żywności“ powiadam. Ale oni chcą jechać lekko i szybko. Mówią, że kupimy żywności w chacie Mac Keon'a. Wiem teraz, że pojedą prosto, bo Charley Mac Keon mieszka tam, gdzie przy drodze stoi czarna skała.

Zanim wyruszyliśmy, pogadałem ze dwie minuty z pastorem w Anvig. Tak, istnieje rzeczywiście jednooki człowiek, przejeżdżał tędy i pomknął bardzo szybko. Wiem teraz, że jego to właśnie szukają. Z Anvig bierzemy bardzo mało zapasów, jedziemy lekko i prędko. Mamy trzy nowe psy, kupione w Anvig, więc mkniemy szybko. Mężczyzna i kobieta są jak opętani. Wyruszamy coraz wcześniej o poranku — późniejszą wciąż nocą rozkładamy ognisko. Patrząc czasem, czy nie zobaczą ich już martwych. Ale nie. Wilczęta nie chcą umierać. Pędzą wciąż dalej i dalej. Kiedy chwyci ich atak silnego kaszlu, przyciskają rękami piersi i kaszlą, kaszlą, kaszlą. Nie mogą już iść, nie mogą mówić. Kaszlą tak może dziesięć minut, może pół godziny, a kiedy się wyprostują — lzy zamarzają na ich twarzy, ale znów jedynym ich słowem jest „naprzód!“

Nawet ja, Charley z Sitki — jestem bardzo zmęczo-

ny. Myślę czasem, że siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie jest tanią zapłatą za taką pracę. Jedziemy teraz po nieutorowanej drodze. Wilczęta węszą po szlaku i wołają „prędzej“. Wciąż tylko wołają „prędzej!“ Psom ciężko. Nie mamy dosyć żywności, żeby karmić je dosyta, stają się coraz słabsze. One również ciężko pracują. Kobieta żałuje ich bardzo i nieraz patrząc, ma łzy w oczach. Ale szatan, który pcha ją naprzód, nie daje spocząć ani zatrzymać psów.

Lecz oto doganiamy jednookiego człowieka. Leży na śniegu przy drodze. Ma złamaną nogę. Nie może jechać dalej. Od trzech dni już leży na koldrach, z wysiłkiem podsycając ogień. Kiedyśmy go znaleźli, poczał nagle strasznie wymyślać. Nigdy w życiu nie słyszałem podobnego wymyślenia. Przeklinał na czem świat stoi. Ale ja jestem rad. Nareszcie znaleźli tego, kogo szukali. Nareszcie odpoczniemy. Wtem woła kobieta: „Ruszajmy! Śpieszmy!“

Zdębiałem. Ale człowiek o jednym oku powiada: „Nie myślcie o mnie. Dajcie mi tylko waszą żywność. Dostaniecie jej jutro więcej w chacie Mac Keon'a. Przyszlicie go tu do mnie. A teraz w drogę!“ To jest już inny wilk, stary wilk, ale również ma tylko jedną myśl: „Naprzód!“ Dajemy mu więc naszą żywność, której jest zresztą bardzo niewiele, rąbamy drwa dla jego ogniska, zabieramy najsilniejsze jego psy — i ruszamy. Zostawiamy tego człowieka na śniegu i tam na śniegu umiera potem, gdyż Mac Keon nigdy już do niego nie przyjdzie...

Kim był ten człowiek i poco się tu wziął — nie

noszą się tylko na kolana i znów padają w śnieg. Dwa lub trzy razy, zanim zdołają się podnieść. Ale zawsze padają naprzód! Stojąc, czy klęcząc, zawsze padają tak, że posuwają się naprzód nawet samą bezwładnością ciała. Czasami pełzną na czworakach, niby zwierzęta leśne. Idziemy wolno, jak ślimaki, ale jednak prędzej niż człowiek, który jest przed nami. Bo on również pada co chwila, lecz nie ma Charley'a z Sitki, któryby go podniósł. Teraz jest już o dwieście jardów. Przechodzi czas, długi jak wieczność. Zyskujemy znowu sto jardów.

Zabawny widok! Ha, ha, ha, chce mi się śmiać głośno, tak bardzo jest to śmiechu warte. Oto wyścig umarłych ludzi i nieżywych psów. Podobne do straszego snu, kiedy człowiek chce uciec od jakiejś mary, żeby ocalić życie, a zaledwie posuwa się naprzód.

Mężczyzna jest szalony. Kobieta jest szalona. I ja jestem szalony. Cały świat oszalał i śmiać mi się chce. Obcy człowiek, który jest przed nami, porzuca swoje psy i rusza sam jeden przez śniegi. Po pewnym czasie dochodzimy do tych psów. Leżą bezsilne koło sani, w uprzęży z kółder i płótna, a kiedy przechodzimy, wyją ku nam i skamlą, jak głodne dzieci.

Więc my również zostawiamy swoje psy i brniemy samotrzeć przez śniegi. Mężczyzna i kobieta stękają, łkają i rżęzą, — ale idą dalej. Ja idę również. Mamy już tylko jedną myśl! dosięgnąć obcego człowieka. Wtedy odpocznę i będę chyba leżał i spał tysiąc lat.

Obcy człowiek jest o pięćdziesiąt kroków sam jeden na białym śniegu. Pada, i pełźnie, i kuleje, i znów pada i pełźnie na nowo. Jest jak śmiertelnie ranne zwierzę,

co stara się ująć myśliwym. Coraz częściej poczyna pełznąć na czworakach. Nareszcie nie wstaje zupełnie. Mężczyzna i kobieta już nie wstają także. Pełzną za nim na rękach i kolanach. Ale ja wstaję. Czasami padam, ale wciąż jeszcze wstaję.

Dziwny to widok. Wokoło śnieg i milczenie, a przez śnieg i milczenie pełźnie mężczyzna i kobieta i obcy mężczyzna przed nimi. Z każdej strony słońca lśni fałszywe, tak że trzy słońca stoją na niebie. Igły mrozu płoną jak diamenty i całe powietrze pełne jest iskier.

Oto kobieta kaszle i leży cicho w śniegu, dopóki trwa atak, potem pełźnie znowu. Mężczyzna patrzy przed siebie, oczy ma zaognione, jak człowiek stary, i musi je przecierać, żeby coś widzieć.

Teraz już obcy człowiek zaczyna się oglądać, a Charley pada i znów się podnosi.

Mija czas i obcy człowiek nie może już pełznąć. Stoi niepewnie na nogach i chwieje się wtył i naprzód. Potem zdejmuje jedną rękawicę i czeka z rewolwerem w ręku, słaniając się ciągle. Twarz jego jest straszna i czarna od mrozu. Jest to twarz głodu. Moim białym oczyma zapadły głęboko, ledwie trzymają się na nogach, ale zwolna, słaniając się, podchodzą do niego pośród milczenia i śniegu. A na niebie mrugają złudne słońca i powietrze lśni mroźnymi igłami diamentów.

I oto stało się, że ja — Charley z Sitki — widziałem zabójstwo. Nie padło ani jedno słowo. Tylko obcy człowiek zawył, zachwiał się, ramiona mu zwisły, kolana się ugięły, ostatnim wysiłkiem wparł się w śnieg, żeby nie upaść. Mężczyzna i kobieta zatrzymali się może o jakie

trzydzieści kroków. Ich uda również zaryły się w śnieg, a ciała zachwiały się wtył, i naprzód. Obcy człowiek jest bardzo słaby. Ramię jego drży, to też kula, puszczona w mężczyznę, grzęźnie w śniegu. Mężczyzna nie może ściągnąć rękawicy. Obcy człowiek strzela doń znowu, ale kula idzie obok w powietrze. Wtedy mężczyzna ściąga rękawicę zębami i zaczyna celować. Ale rękę ma zmrożoną, nie może utrzymać rewolweru i wali się w śnieg. Spoglądam na kobietę. Rękawica już zdjęta i duży rewolwer Colt'a w ręku. Strzela trzy razy, raz po raz. Głodna paszcza obcego człowieka milknie. Człowiek pada twarzą w śnieg.

Nie patrzę na zabitego. — „Chodźmy“ mówię. Więc idziemy. Ale teraz, kiedy znaleźli już to, czego chcieli — stali się sami, jak umarli. Opuściły ich ostatnie siły. Nie chcą już trzymać się na nogach. Nie chcą już pełznąć. Chcą tylko zamknąć oczy i spać. Widzę niedaleko miejsce odpowiednie na obozowisko. Popycham ich w tę stronę. Mam w ręku bicz na psy i tnę nim po ich plecach. Krzyczą głośno, ale muszą się poruszać. Pełzną aż do miejsca postoju. Tam rozkładam ognisko, żeby nie zmarzli. Wracam do sani. Potem zabijam psy obcego człowieka, mamy więc już żywność i nie umrzemy z głodu. Zawijam mężczyznę i kobietę w koldry i pozwalam im spać. Od czasu do czasu budzę ich i wkładam im w usta po kawalczku mięsa. Nie budzą się, ale połykają. Kobieta śpi półtora dnia. Potem budzi się i znów zasypia. Mężczyzna śpi trzy dni, budzi się i znów idzie spać. Nareszcie schodzimy ku wybrzeżu Ś-tego Michała. A kiedy lód spłynął z morza Beringa — mężczyzna i kobieta od-

jechali statkiem. Przedtem jednak zapłacili mi moje siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Zrobili mi także prezent jeszcze z tysiąca dolarów. Było to w tym roku, kiedy Charley z Sitki złożył taki wielki dar na Misję Ś-tego Krzyża.

— Czemu jednak zabili tego człowieka? — zapytałem.

Charley z Sitki zwlekał z odpowiedzią, dopóki nie zapalił fajeczki. Spojrzał na ilustracje „Police Gazette“ i potrząsnął głową poufale w ich stronę. Potem powiedział wolno i z namysłem: — Myślałem długo. Nie wiem. Jest to coś, co się stało. Jest to obraz, który pamiętam. Podobne to jest spojrzeniu przez jasne okno na nieznanego człowieka, piszącego list. Weszli w moje życie i wyszli z niego. Obraz jest, jak mówiłem, bez początku, bez końca i bez związku...

— Namalowałeś właściwie niejeden obraz w swem opowiadaniu — rzekłem.

— Ach — potrząsnął głową — były wszystkie bez początku i bez końca.

— Ostatni obraz posiadał koniec...

— Ach — odpowiedział — lecz jaki koniec...

— Był to strzępek życia.

— Tak — odrzekł — był to strzępek życia...

~~BIBLIOTEKA ZWIĄZKU
Towarzystwa Chłopskiego
w PRZECŁAWIU.~~



SPIS RZECZY:

	Str.
MAŁŻONKA KRÓLA	5
PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA	29
PYTANIE	43
„ZROWIE PODRÓŻNEGO“	65
ŚNIEŻNA MARTWICA	81
NA POSTOJU	99
CÓRKA ZORZY	123
SZLAK ŻŁUDNYCH SŁOŃC	139



Biblioteka Groszowa Wendego

Pragnąc uprzystępnąć jak najliczniejszym czytelnikom możliwość nabywania taniej i dobrej książki, postanowiliśmy, pomimo ciężkich warunków wydawniczych, wydawać „Bibliotekę Groszową Wendego“, której każdy tomik będzie kosztował zaledwie 95 groszy, a więc dostępny będzie niemal dla każdego.

„Biblioteka Groszowa Wendego“ poza wartościowymi utworami piśmiennictwa polskiego autorów tej miary, co J. I. Kraszewski, A. Dygasiński i inni, obejmuje szereg utworów literatury obcej, francuskiej i angielskiej na pierwszym miejscu. Ukażą się mianowicie, jako tomy „Biblioteki Groszowej Wendego“, nieporównane i pełne głębokiego artyzmu dzieła Josepha Conrada (Korzeniowskiego); pociągające egzotycznym tłem, bezpośredniością i barwnością utwory Jacka Londona; oryginalne i przeniknięte nawszkroś głęboką filozofją katolicyzmu dzieła G. K. Chestertona; arcydzieła subtelного znawcy duszy ludzkiej Guy de Maupassant'a i t. d.

Pomimo niezmiernie niskiej ceny tomów „Biblioteki Groszowej Wendego“ pragniemy, aby owa tania książka

w niczem nie ustępowała wydawnictwom droższym; dlatego też każdy tom cechować będzie nietylko staranny wybór ciekawej i wartościowej treści, ale również i wysoki poziom przekładu, wiernie oddającego w języku polskim walory artystyczne oryginału, oraz wielka dbałość o estetykę wyglądu zewnętrznego książek.

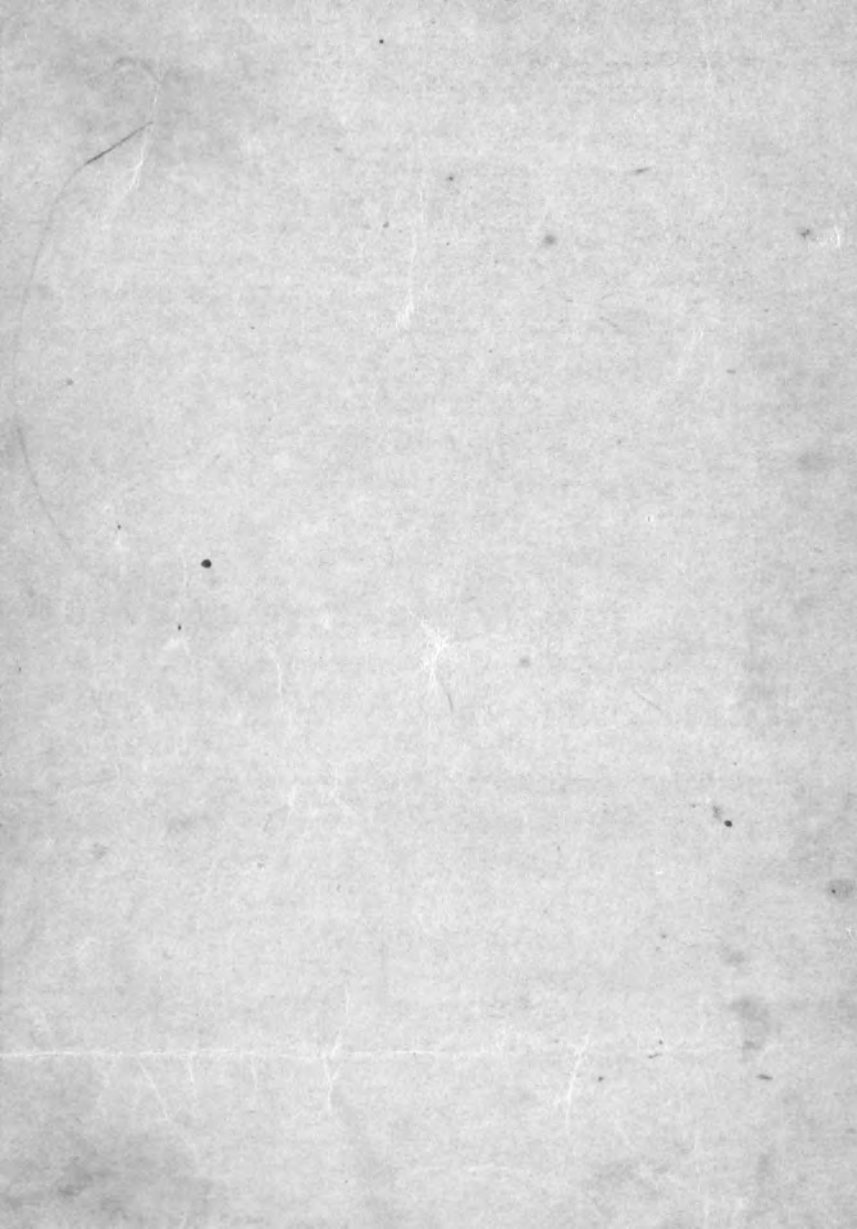
Dotychczas ukazały się w „Bibliotece Groszowej Wendego“ następujące tomy:

- JACK LONDON* — *NA SZLAKU*, nowele,
„ — *OPOWIEŚCI MÓRZ POŁUD-
NIOWYCH*, nowele.
„ — *SYN SŁONCA*, nowele.
— *ZEW KRWI*, powieść.

W druku:

- A. DYGASIŃSKI* — *Z POD CIEMNEJ GWIAZDY*,
powieść.
KLEMENS JUNOSZA — *ŻYWOTA I SPRAW IMC
PANA SYMCHY BORUCHA KALT-
KUGLA KSIĄG PIĘCIORO*, powieść.
J. I. KRASZEWSKI — *OSTATNI Z SIEKIERZYŃ-
SKICH*, powieść.
„ — *HRABINA COSEL*, powieść.
GUY DE MAUPASSANT — *PANNA FIFI*, nowele.
„ — *MIŁOŚĆ*, nowele.
K. TETMAJER-PRZERWA — *WATERLOO*, powieść.







AD-1620

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-1620



001-0001968--00